Nr. 18 (1218). Warszawa, 17 (30) Kwietnia 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W **Warszawie**: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z **przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za **zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Loubet w Rzymie.

Niesłychana radość ludu rzymskiego z przyjazdu Loubeta, zadowolenie w pałacu kwirynalskim, zbliżające się już do radości, przyjacielskie rozmowy p. Delcasségo z p. Tittonim — a po tem wszystkiem skrzyp piór dyplomatycznych po papierze, który ma przekazać potomności dowody przyjaznego porozumienia się i współdziałania obu mocarstw, bezpośrednio wpływających do uroczystego aktu odwiedzin — te są dotychczas wiadome owoce z wywzajemnienia się Francyi za październikowe odwiedziny Wiktora Emanuela III w Paryżu. Wszelka uroczystość, zwłaszcza tak hałaśliwa, jaką musiał się stać przy temperamencie włoskim, a tem bardziej rzymskim, wjazd Loubeta do Wiecznego Miasta, odurza nietylko bezpośrednich, realnych, ale i idealnych uczestników wszelkich obchodów i wypadków dalekich — a takimi są dziennikarze polityczni. Odurzenie nie jest najlepszym z przyjaciół rozsądku; zamroczony wzrok łatwo dostrzega widma i mary, a obezwładniony przez wyobraźnię zmysł rzeczywistości staje się pochopnym do przyjmowania i oddawania innym wszelkich haseł, przywidzeń i złudzeń, choćby one nie wytrzymywały nawet pierwszej próby rozumowania i prawdopodobieństwa. Umysł najściślejszy w warunkach normalnych, gdy się raz wykąpie w uniesieniu powszechnem, mięknie, traci wewnętrzną spójność i hart — i nabiera znamion umysłowości dziecinnej, chwytającej pozory za treść, treścią nawet gardzącej.

Podobne zjawisko odurzenia, wraz ze swemi następstwami powtórzyło się i teraz. Dziecinna mądrość nie czekała na chwilę, w której ten lub ów redaktor po otrzymaniu telegramów rzymskich wpuści ją do swego gabinetu: narzuciła się już odrazu korespondentom, wysyłającym telegramy. Ten dział reporteryi politycznej, który w obecnej wojnie japońsko-rosyjskiej tak nielitościwie znęca się nad prawdą, i w odwiedzinach rzymskich też zaprzągł się przed innemi do rydwanu fałszu. Gdyby wszystko to, co ci panowie wypisują dla nakręcenia swych redaktorów a olśnienia czytelników, prawdą być miało, świat polityczny stałby już w tej chwili za progiem zupełnego przewrotu w układzie potęg życiem jego kierujących. Nie byłoby już przymierza potrójnego, padłoby nareszcie po 25 latach u stóp ściskających się w rozczuleniu pp. Delcasségo i Tittoniego; troistość przeniosłaby się do Francyi, sprzymierzonej z nią Rosyi i Włoch, a to przymierze dwóch, któreby jeszcze pozostało, miałoby, wobec niedawnego porozumienia się w Abbazyi, zawieszony już nad sobą nieuchronny wyrok zagłady. Austrya przez Rosyę i Włochy skrępowana zobowiązaniami ubocznemi, Austrya rozsadzana od wewnątrz i podkopywana z zewnątrz — bez Włoch sama jedna tylko w przymierzu z Niemcami, czyhającymi na dobrych Prusaków austryackich, wytrwać by nie mogła: zatem dziś już Niemcy są odosobnione, a cały system przymierzy, dający Europie pewną swoistą, równowagę—zburzony do szczętu.

A to wszystko mówi się i w rozumowania rozprowadza, z tem większą odwagą, im mniej się wie o tem, co rzeczywiście w Rzymie ułożono. Z dotychczasowych półsłówek półurzędowych to tylko wiadomo, że w samej pracowni dyplomatycznej rzymskiej panuje dążność do wzbudzenia wiary powszechnej, iż głównym przedmiotem rokowań i umów były niebezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie. Ta pompatyczna liczba mnoga sprowadzić się daje do bardzo skromnej, pojedynczej. Czy wystąpienia zbrojnego Chin? Nie, prostego pogwałcenia przez nie neutralności, którą wszyscy poręczyli, choć same Chiny nikogo o poręczenie nie prosiły. Uznanie momentu pogwałcenia tak Francya, jak Włochy zostawiają, oczywiście, sobie samym, ale raz go stwierdziwszy, nie będą już potrzebowały zbrojnego wystąpienia bogdychana, aby w nim ujrzeć sprzymierzeńca Japonii i nie pozwolić mu na rzeczywiście sprzymierzeńcze współdziałanie. Oprócz tej sprawy wschodnio-azyatyckiej inne jeszcze poruszyć musiały czynne obecnie żywioły woli w Rzymie; ale o nich panowało przez czas pobytu Loubeta (do 27 b. m.) milczenie ze źródeł bezpośrednich. Domysły tutaj będą zupełnie uprawnionymi, jeśli wskażą dwie sprawy: bałkańską i trypolitańską, jako prawdopodobne, nieuniknione przedmioty znojów pp. Delcasségo i Tittoniego.

Prosty nawet czytelnik gazet politycznych nie potrzebuje chodzić do dyplomatów z zapytaniem: co znaczą rokowania Francyi z Włochami o Daleki Wschód, a na nim o doskonałą neutralność chińską? Jest to początek przewidywanej od samego początku, tak zwanej w żargonie dziennikarsko - dyplomatycznym, akcyi zbiorowej, europejskiej. Francya, prowadząc tu interesa swoje własne, występuje i w interesie Europy, który na tem polega, żeby wschód azyatycki jak najłagodniej, z jak najmniejszemi ofiarami i korzystając z każdej nastręczającej się sposobności, stopniowo rozebrać. Głosu takiego inte

resu usłuchają i Niemcy, które już w środku lutego, w tydzień po rozpoczęciu się wojny, ową neutralność doskonałą Chin uznały za oś obrotową wypadków wymagających obecności żołnierza niemieckiego; usłucha i Anglia, związana wprawdzie z Japonią, ale nieskończenie żywiej od przyjaźni dla niej odczuwająca straty na handlu wskutek jej krnąbrności czy nieuległości poniesione, a nie myśli bynajmniej pozwalać innym na nasycanie apetytów ziemią chińską, siebie sama zaś skazywać na głód. Wziąłby coś i Austrya, gdyby jej coś dano. Półurzędownie uchylony rąbek pozwala widzieć wykluwającą się na nowo sprawę porządku w Chinach, a równowagi pomiędzy jego stróżami z Europy, sprawę, która w mowie zwykłych śmiertelników zapowiada politykę zaborczą przeciw Chinom — i rozegra się pod hasłem: walki rasy białej z żółtą. Takie będzie prawdopodobnie nowe przymierze, i taki nowy przewrót w równowadze świata.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Szczegółowy raport admirała Aleksiejewa o bitwie z d. 13 b. m. do szczegółów już znanych dodaje nowe o „Bojanie." Krążownik ten pospieszył z pomocą torpedowcowi „Strasznyj" już tonącemu. Zdołał ocalić tylko 5 ludzi; zginęło trzech oficerów i większość załogi. Chociaż krążownik „otrzymał wiele uderzeń odłamkami pocisków," nie poniósł jednak strat ani uszkodzeń i zawinął do portu. Na pomoc wyjechała „Dyana" i 5 torpedowców. Działo się to jeszcze przed wyruszeniem wiceadmirała Makarowa z wielkimi okrętami. W. Ks. Cyryla z ginącego „Petropawłowska" uratował „Hajdamak." Liczba ocalałych jest większą od poprzedniej: 7 oficerów i 76 szeregowców. W Mandżuryi pod stacyą Turczycha uwięziono dwu oficerów japońskich, przebranych za lamów; mieli przy sobie trzy pudełka lontu Binforda, klucz francuski rozbierany, naboje dynamitowe, narzędzia inne do wyjmowania szyn; 60 funtów patronów z pyroksyliną, planami Mongolii, Mandżuryi i Korei północnej. Nazwiska ich Jukoka i Oki. Badani przyznali się do zamiaru burzenia kolei. Sąd w Charbinie skazał ich d. 20 b. m. na śmierć przez powieszenie. Gen. Kuropatkin uwzględnił wszakże stan oficerski i powieszenie złagodził na rozstrzelanie. Wyrok wykonano d. 21 b. m. — Gen. Leniewicz z Mandżuryi przeniósł się do Nikolska, na północ od Władywostoku; tam dowodzić będzie siłami lądowemi krainy Nadamurskiej. — Nad Jalu Japończycy gromadzili materyał na mosty i przygotowywali się do stawiania ich. Drobne potyczki wskazują miejscowości nad właściwą rzeką na północ od Widżu, zajmowane przez Japończyków. Siły rosyjskie mają być ześrodkowane w Andanie. Z Władywostoku flota wypłynęła i napadła na Gensan, zupełnie ogołocony. Spaliła jeden okręt handlowy, ale portu samego na stałe nie zajęła; przeciwnie, zapowiedziano odpłynięcie na morze. Fakt powyższy dowodzi słabości sił japońskich; widocznie nie wystarczały one na zajęcie pomorza wschodniego Korei, które już sześć tygodni temu plan działania nakazywał obsadzić siłami znacznemi. Prób nowych wylądowań na półwyspie Kuantuńskim nie było. Ta, o której w przeszłym tygodniu doniesiono, jako o udaremnionej, okazała się nieprawdziwą.

Izba poselska sejmu pruskiego, uchwaliwszy d. 19 b. m. budżet dla komisyi kolonizacyjnej, zajmuje się innymi wydatkami różnych ministeryów. Posłowie polscy: Dziembowski, Jaździewski, Korfanty, Mizerski, Skarzyński wytykają krzywdy i gwałty spełniane na pewnej części obywateli pod skrzydła wspólnej przecież i jednakowej dla wszystkich konstytucyi schronić się usilujących — nadaremnie. Słabe poparcie dają obrońcom prawa środkowcy, a niekiedy wolnomyślni i socyaliści. W jasnej jak słońce sprawie pisowni nazwisk polskich minister sprawiedliwości Schönstedt oznajmił Izbie odwołanie się do urzędów prowincyonalnych po opinię. Ponieważ rząd pruski nie zawahał się już przedtem oświadczyć, że uchwała sejmu cesarstwa, nakazująca pisownię właściwą, nie może go obowiązywać bez uwzględniania okoliczności politycznych, nowe zatem obłożenie urzędników pruskich obowiązkami gramatyków polskich może mieć tylko na celu — uświęcenie raz na zawsze nieporządku, dziwactwa i gwałtu nad prawem najbardziej osobistem Polaka. Policya rzuca się już teraz na reprodukcye obrazów malarzy polskich i usuwa je z mieszkań stowarzyszeń i wogóle instytucyj publicznych. Komisya Izby poselskiej zamiast 5 mil. marek z okładem, żądanych na zamek w Poznaniu, chciała dać tylko 3 mil.; ale jak widać z przebiegu rozpraw w Izbie samej, skończy się na uchwaleniu bez zmiany żądania ces. Wilhelma. Nadprezesowie prowincyj polskich otrzymali 1,450,000 m. funduszu gadzinowego. — Podróż cesarska już się skończyła. Podróżnik mimo ostrzeżenia, że w Katanii całe municypium składa się z socyalistów — ba, nawet anarchistów, nie lękał się tego gniazda nieprawości odwiedzić. Nie spotkał się z cesarzem Franciszkiem, nie spotkał i z Loubetem: Adryatykiem pomknął do Wenecyi, a stamtąd, zdaje się, prosto do Karlsruhe. Tak przynajmniej zapowiadano. — Dowódca w Afryce zachodnio-południowej przeciwko Hererom, Dürr, odwołany. Walka wciąż trwa; zdaje się, że Niemcy wydobyli się już z ukropu.

Nareszcie stanął komitet polski wyborczy na całe Niemcy: Poznańskie ma w nim 4 przedstawicieli, Prusy Zachodnie, Warmia i Mazury 3, Berlin i Brandenburgia 1, Nadrenia z Westfalią także 1 — ogółem jedenastu. Prezesem został Krysiewicz, wiceprezesem Sas-Jaworski, sekretarzem Szułdrzyński, skarbnikiem Więckowski.

Prezydent Loubet d. 23 b. m. wyjechał z Paryża, nazajutrz był w Rzymie. Wzbudził niesłychany zapał, jakiego podobno Rzym włoski nie zapamiętał w podobnej okoliczności, która z istoty rzeczy musi być raczej paradną zabawą, niż poważnym, historycznym wypadkiem. Trzeba tu pamiętać o tradycyjnem *panem et circenses*: Włoch dzisiejszy, głodny, wyciąga rękę po chleb, gdy gości u siebie nie ma, nasyca oczy widowiskiem wspaniałem, gdy jakiego wspaniałego gościa zobaczy. Radość ludowa nie dowodzi bynajmniej popularności Francyi we Włoszech, choćby tylko u ludu. Polityka nie jest miłością, w której między okiem a sercem krąży ciągły prąd błyskawicznej zależności. Przyjechał wprawdzie z p. Loubetem p. Delcasse, a z p. Delcasse jego najpierwszy kancelista; ministrowie odbyli już z sobą długie narady, coś na tych naradach spłodzili, coś ułożyli, postawili; ale z tych zewnętrznych czynności, z tych wielkich krzyżów legii, jaśniejących już na piersiach pp. Giolittiego i Tittoniego, wnioskować o przymierzu, o zupełnym przewrocie stosunków europejskich, o rozpadnięciu się trójprzymierza, o odosobnieniu Niemiec — może tylko dziennikarz, grający jak aktor codzień inną rolę — pod codzień innem-wrażeniem. Prawdopodobnie za zasłoną magicznego teatru robi się sprawę trypolitańską, a przy niej albańską. Bałkanis mogła być w obszernym zakresie przedmiotem rokowań, nawet umów w duchu interesów rosyjskich, wyobrażanych przez Francyę, przeciwko Austryi, a co najmniej dla wywarcia na nią nacisku.

Kalman Mikszath.

PÓŁ SYNA.

(Dokończenie).

Pani Barbara nie miała więc innego wyjścia, jak kochać, pieścić i otaczać staraniami obu malców, ale instynkt matki nie dawał jej spokoju: w ciągłem naprężeniu, szukała, szperała i robiła porównania.

Analizowała siebie i starała się w drobiazgach nawet dopatrzeć podobieństwa u dzieci, w ten sposób rozwiązać zagadkę.

Wiele też razy zdało się jej, że jest już na tropie i w uniesieniu wołała: — Ten jest moim.

Na nieszczęście nie trwało to długo, raz bowiem Pali, to znowu Lacsi wywoływał tę pewność.

A więc ów głos krwi, o którym się mówi i pisze tak wiele, nie zdradził, które z dzieci było jej własne! Widocznie obcą jest krwi ta rola uczona, którą poeci jej narzucają. Zresztą dziś na seryo nikt w to już nie wierzy.

A chłopcy rośli i rośli. Obaj byli zacni i pilni, a choć teraz dobrze już wiedzieli, że matka jest rodzicielką jednego tylko z nich, każdy w myśli sobie ją przywłaszczał.

W tym czasie Gathy zachorował; żona więc umyśliła wyzyskać położenie, bo gdy ciało słabnie i duch jest mniej opornym. Otoczyła go więc pieczołowitością bez granic i, z miłością zwracając się do niego, błagała:

— Ulituj, się drogi mężu i wskaż mi syna. Na Boga żywego, na cienie matki mej przysięgam, że nikt prócz mnie o tem wiedzieć nie będzie. Pasierb mój nigdy prawdy się nie dowie, kochać go będę tak, jak dotychczas.

Właśnie w tej chwili Pali drzwi otwierał, więc Gathy, zniżając głos, odparł.

— Przysięgłaś, a więc wierzę. Oto twój syn!

Matka się zerwała i, przybiegłszy do dziecka, obsypała je pieszczotami, a później, oparłszy głowę chłopca na swoich kolanach, z uniesieniem gładziła jasne, jedwabiste jego kędziory.

Już dnia tego przy śniadaniu, najpiękniejsza gruszka znalazła się przypadkiem na jego talerzu, przy podwieczorku nóż obsunął się w ten sposób, że porcya ciasta dla niego przeznaczona wypadła większa niż zwykle, a o zachodzie przy grze chłopców w piłkę, gdy z oszklonej altanki szyba z brzękiem wypadła, choć obaj zapewnili, że sama się stłukła, matka zaraz odgadła, że winien był Lacsi. W rzeczywistości sprawcą szkody był Pali.

Tak się miały rzeczy przez czas krótki, Gathy bowiem, zmiarkowawszy coś niebawem, rzekł do żony.

— Ej Basiu, Basiu!

— No, cóż Laurenty?

Śmiać mi się chce z ciebie, duszko! Ale to było do przewidzenia, wy bo już takie wszystkie, wy kobiety! Wystarczyło, bym w sercu twojem małą zrobił szczerbę, a już z niej wyjrzała macocha! Nie, stanowczo próba się nie udała.

— Jaka próba?

— Ta, na którą cię wystawiłem, wskazując ci za syna tego, który pierwszy wówczas drzwi otworzył.

— Nędzniku, oszukałeś mnie więc!

— Może, a ty czy nie uczyniłaś tego, przyrzekając, że jednakowo przywiązaniem darzyć będziesz obu. Tymczasem wyróżniasz jednego, zaniedbując jednocześnie drugiego.

Nie, nie jesteś dobrą stanowczo!

Na Węgrzech panowało przez jakie 5 do 6 dni powszechne bezrobocie kolejowe, uśmierzone przez stronnictwo niezawisłości. Rząd przyrzekł amnestyę, ale przewódców sądy powtrącały do więzienia.

Anglicy w Tybecie zatrzymali się w Gyantse, na drodze do Lhassy. Stało się to zapewne na rozkaz dyplomacyi.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Następnie zwiedziliśmy cały szereg świątyń pomniejszych, malowanych gorzej i mniej kunsztownie rzeźbionych.

Wszędzie kurz, śmiecie, zaniedbanie. Na poszczerbionych cokułach świątyń suszyły się zioła jadalne i przaśne opłatki, namazane na listki sałaty. Jeden z przedsionków był zawalony chrustem na opał.

Weszliśmy do skrzydła, gdzie 1,000 Budd stoi pod ścianami na pięciu stopniach ołtarzy; na werandzie tej świątyni wisi wielki, stary gong z herbem Korei. Obejrzeliśmy drukarnię klasztorną ze stosami pierwotnych, drewnianych klisz, choć zaszczyt wynalazku metalowych liter ruchomych należy się Korei, gdyż używano ich tu już w 1403 r., wcześniej niż w Chinach i Europie. Wreszcie zajrzeliśmy do mieszkań kapłańskich. Przylegały do małej, ogrzanej świątyni, gdzie mnisi modlili się właśnie. Klęczeli rzędami, ubrani w czarne, japońskie „kirimony" i starożytne, również czarne, ażurowe, japońskie kołpaki; każdy miał zarzuconą przez jedno ramię czerwoną mantylę i w rękach różaniec. Mruczeli półgłosem modlitwy, podczas gdy młodziuchny służka, klęczący na przedzie, bił monotonnie w bęben. Pachniało kadzidłem, ziołami, woskiem drzewnym. Ten sam zapach wypełniał i obszerne, schludne pokoje mnichów, przyozdobione staremi rycinami, kwiatami i zielonemi gałązkami sośniny, wetkniętemi w ładne wazy. Ciepła, ogrzana z dołu podłoga była wyklejona grubym, naoliwionym papierem, podobnym do pergaminu. Z rozrzuconych na podłodze książek i rzeczy wnoszę, że ich mieszkało razem po kilku. Obok mieściła się kuchnia ciemna i brudna.

Na ogół klasztor smutne robił wrażenie. We freskach, napół-zmytych, w niektórych rzeźbach zmurszałych, w starych odrzwiach, kunsztownie wykładanych drzewem, przebłyskiwały miejscami nieśmiałe cechy odrębnego smaku oraz innej sztuki, ale w całości wyglądał on raczej na zabukanego i zubożałego brata bogatych chińskich oraz wytwornych świątyń japońskich, niż na dzieło samorzutnej twórczości.

A przecie był to klasztor stosunkowo zamożny, starodawny, wspierany przez dwór, gdyż, jak już wspomniałem, opiekowali się nim cesarzowie Koriō: według podań w nim właśnie kształcił się ubogi wieśniak genzański, I-sion-ge, następnie słynny wódz i założyciel panującej obecnie dynastyi. W pobliżu klasztoru pokazują drzewa, jakoby przezeń posadzone i w skarbcu klasztornym przechowują odzież tego króla.

Do klasztoru Sŏk-oan-sa na wiosnę i w lecie schodzą się pielgrzymi, przyjeżdżają nawet uczeni, aby korzystać dla prac naukowych z klasztornej ciszy i odosobnienia, oraz z biblioteki i z dysput z ojcami świętymi... Nie jest jednak on ani tak odwiedzanym, ani tak bogatym, jak naprzykład klasztor Ton-do-sa w południowej prowincyi Kiōn-san-do, albo klasztory Dzan-ań-sa, Phion-uń-sa lub Ju-czion-sa, również położone w górach Dyamentowych. W tych górach kryje się pono do 40 męzkich i żeńskich klasztorów, w których mieszka 400 mnichów, 50 mniszek i 1,000 sług świeckich. Większość cierpi biedę, trudni się rolnictwem, hodowlą drzew owocowych, wyrobem papieru, rzemiosłami. Mnisi i mniszki ślubują celibat, lecz w każdej chwili mogą opuścić klasztor bez przeszkody. Golą głowy i przed postrzyżeniem poddawani są próbie ognia przez trzymanie na dłoni płonącej hubki aż do jej zagaśnięcia. Według japońskiego kronikarza, Otano-Kigoro *), najważniejszymi klasztorami buddyjskimi w końcu XVIII stulecia były Nam-hań i Puk-hań, w stołecznej prowincyi Kiōn-gyj-do, niedaleko Seulu. Założone zostały przez mnichów-żołnierzy i miały załogi do 1,500 ludzi.

— Dawniej takich klasztorów było dużo. Kiedy nieprzyjaciel kraj nachodził, okoliczni mieszkańcy chowali się z dobytkiem za ich mury. Nawet cesarzowie wraz z dworem chronili się w nich w czasie wojny!.. — mówili mi Korejczycy. Na kupionej przeze mnie fotografii klasztoru Nam-hańskiego widać jedynie wysoki, złożony z głazów mur, w nim małą bramę, a nad nim parę krzywych dachów. Mieli ci mnichowie-żołnierze (sion-guń) chwilami wielkie, dziejowe znaczenie i swoich Kordeckich. W 670 roku (po N. Ch.) buddyjski mnich podnosi rokosz przeciw zwycięzkim Chińczykom i przy pomocy Japończyków oswabadza od nich na czas jakiś część Korei. W X wieku mnisi buddyjscy pomagają znów czynnie zjednoczeniu oddzielnych państewek półwyspu w jeden związek pod berłem dynastyi Koriō *). Wdzięczni monarchowie otaczają ich szczególną opieką. W czasie najścia Mongołów (w 1232 r.) król wraz z dworem chroni się do klasztoru Kań-hoa na wyspie tej samej nazwy. I nawet później, już po upadku buddyzmu, korejscy królowie od czasu do czasu szukają schroniska w ich górskich warowniach, dokąd na dane hasło gromadzą się mężni, okoliczni myśliwcy na tygrysy. Do ostatnich czasów ci zapoznani buddyjscy „Kawalerowie Mieczowi" nieśli swą krew na zawołanie ojczyzny. Jeszcze w 1866 r. odparli oni zwycięzko szturm Francuzów do tego samego klasztoru na wyspie Kan-hoa, gdzie dwór ongi schronił się przed Mongołami.

Serdecznie żegnany przez brać klasztorną i przeora, opuściłem w południe gościnny Sŏk-oan-sa.

Pogoda popsuła się. Szare mgły, toczące się ze szczytów, dopędzały nas co chwila w drodze na podgórze, obrzucały przejmującą wilgocią i płynęły dalej przez las obmokły i poczerniały. W wąwozie było zacisznie, ale na górze wiatr pomiatał drzewami. Po paru godzinach wędrówki wyszliśmy z gęstwiny na skraj obszernej, sfalowanej doliny. Była to ta sama okolica, którą oglądałem przed paru dniami w blaskach słońca u przełęczy Tan-sa koge. Jakże brzydką wydała mi się pod chmurnym, nizko opadłym stropem. Bure pola, łyse wzgórza ciągnęły się długiemi grzędami od gór do gór. Widnokrąg zamykały wszędzie wały szczytów, tonących w tumanach. W tej ciemnej, wielkiej jak step piwnicy, zasnu-

* Pamiętnik Otano-Kigoro w tłomaczeniu P. Dmitrowskiego, str. 77.

*) Od tej dynastyi pochodzi europejska nazwa półwyspu — portugalska „Corio" z XVI wieku.

Pani Barbara zemdlona usunęła się na kanapę. Była zwyciężona!

I odtąd nigdy więcej tematu tego nie poruszała. Byłby to trud stracony!

Ale przyszłość, przyszłość obiecująca była coraz bliższą. Jeszcze lat kilka, a dowie się prawdy. Niedługo już niedługo! A tymczasem wszystko szło swoim trybem. Kiedy z lip, otaczających zamek, liście opadały, wyprawiono chłopców do szkoły w pobliskiem mieście, a gdy drzewa na nowo pokrywały się zielenią i pąkami, chłopcy wracali.

Wreszcie nadeszła pora, gdy lipy dawno już zakwitły i dokoła roztaczały swe zapachy — a kroki chłopców na dziedzińcu zamkowym jeszcze się nie rozlegały.

Poszli oni tam, gdzie na świeżej zieleni inne kwiaty błyszczały — kwiaty krwi!

A było to tak. Pewnego dnia nauczyciel wszedł do klasy pełen powagi, z twarzą uroczystą. Za nim pedel szkolny uginał się pod ciężarem strzelb.

Dzieci moje, rzekł przełożony, stając na katedrze. Przeżywamy czasy decydujące. Odłóżcie książki, inna nastała pora — musicie spróbować, kto z was broń nosić potrafi!

W godzinach ciężkich, jakże lekką strzelba się wydaje! Chłopcy wszyscy za nią chwycili. Na czele szedł profesor.

Wojna, acz krótka, pochłonęła niezliczone ofiary. Laczi też sam wkroczył na dziedziniec zamkowy, zostawiwszy brata na polu boju. Bóg dał, Bóg wziął, niech się święci imię Jego.

Młody Gathy wszedł nieśmiało do domu ojców, jak gdyby zawstydzony, że przy życiu pozostał. Przyjęto go z zapałem. Laczi bohater — niech żyje!

I zwolna wszystko wracało do dawnego porządku — nawet matka uspokajać się zaczynała. Może to jej syn przy życiu pozostał. Lecz biada jeśli jest inaczej!

Wreszcie pewnego poranku Laurenty wszedł do pokoju żony i zaczął tonem uroczystym.

— Naszedł dzień ważny, droga moja!

— Jaki dzień? — zapytała obojętnie, zatopiona w robocie, wyszywała właśnie dywan na kanwie.

— Dzisiaj przypada dwudziestolecie drugiego naszego syna.

Serce pani Barbary zadrżało. Gwałtowny rumieniec oblał jej policzki, poczem twarz pokryła się bladością.

— Więc cóż stąd? — zapytała głosem ochrypłym i bezdźwięcznym.

Gathy wyciągnął zwój papierów z kieszeni.

— Pragnę dotrzymać słowa, masz do tego pełne prawo, powinnaś wreszcie wiedzieć, kto jest twym synem.

Kobieta zerwała się z krzesła z szybkością błyskawicy i drżącą ręką zamknęła usta mężowi.

— Cicho, cicho, ja nie chcę wiedzieć tego nigdy, nigdy — wołała namiętnie. A po chwili, pocierając dłonią czoło, szepnęła.

— Tak bo przynajmniej pół syna mi zostało.

— Masz słuszność, może masz słuszność Barbaro — dodał mąż wzruszony — lecz cóż począć z temi aktami?

— Spal je, błagam cię spal je natychmiast!

A gdy posłuszny temu żądaniu, pan Gathy spełnił życzenie żony, i gdy dopalające się drwa w kominku, gwałtownym buchały płomieniem, blaskiem swym niby aureolą oblewając lica matki, wyczerpana powtarzała z westchnieniem.

— Teraz tajemnica nazawsze tajemnicą zostanie — nikt już nigdy prócz ciebie jednego prawdy wiedzieć nie będzie.

...Dla ścisłości dodać muszę, że ja, który całe to zdarzenie spisałem, uchyliłem rąbek sekretu. Ale ponieważ kobieta prawdy wiedzieć nie chciała, i ja wam jej nie wyjawię.

Tłom. *A. Zylbersztajnowa.*

tej smugami dżdżu, jedynie na południu bielała wązka szczelina wylotu między dwiema końcowemi skałami czarnych, urwistych wyniosłości. Chwilami w tem okienku po przez mgły, jak po przez płachtę mokrego żagla, błyskało słońce. Cała płaskowyżyna wznosiła się stopniowo w tym kierunku; tam wiódł przesmyk za pierwszy zwój głównego, górskiego łańcucha półwyspu. Dążyliśmy ku niemu po przez pola, marnemi ścieżkami wzdłuż potężnej ściany gór Dyamentowych, wznoszących się nad nami co najmniej na 2,000 stóp. Ograniczały one dolinę z północo-zachodu: ich mur miedziano-granatowy urywał się właśnie na samym przesmyku. Z blizka stoki ich, porosłe czerwonym obecnie dębniakiem, wydawały się jakby objęte pożarem. Łańcuch, zbliżający się ku nim pod kątem od strony przeciwnej, był znowu pstry, jak skóra daniela, od białych osypisk wietrzejących granitów. A wszystkie zbocza wokoło pokryte były licznemi, guzowatemi wypukłościami, piętrzącemi się cudacznie niby stosy małych kraterów.

Jest to wogóle kształt, właściwy górom korejskim. Spotykałem go i na pobrzeżach, i w środkowej Korei, i na krańcach północno-wschodnich, i na zachodzie, i na południu. Jest tak uderzająco dziwny i odrębny, iż głęboko zapada w pamięć. Często stoki wydają się, jakby stoczone trądem albo owrzodziałe i straszą dziką nieprzystępnością, nietyle przez swe urwiste zręby, głębokie pęknięcia lub strugi bezładnych rumowisk, co przez niezliczone szeregi niewielkich stosunkowo wklęśnięć, rzuconych na boki gór, jak sieć wilczych dołów. Wszystko to szczerzy się, gnie, ostro odrzyna, skaliste i poczwarnie nagie, gdyż, z wyjątkiem północnego pasa, w całej Korei *wcale niema lasów*. Na szerokościach Genzanu pojawiają się one jedynie w kształcie odosobnionych gajów i borów na dnach zacisznych dolin.

Na górach rosną co najwyżej krzaczaste zagajniki, a wyższe szczyty zawsze i wszędzie są nagie. Wątpię, aby na nich cośkolwiek rosło nawet w owych bajecznych czasach, kiedy to cała Korea, według zdania krajowców, miała być pokryta gęstą szczeciną niebotycznych puszcz. Wyniosłości Korei są na to za jałowe. W dodatku półwysep leży na drodze wiatrów, jakie w ciągu roku ląd stały Azyi zamienia z Oceanem Spokojnym, na linii musonów, w zimie dmących z północy i zachodu, a w lecie z południa i wschodu. W zimie są one suche i zimne, a w lecie wilgotne i też zimne, rozumie się, względnie do temperatury mocno ogrzanego lądu. Wiadomo zaś, że nic tak nie szkodzi wysokopiennym roślinom, jak gwałtowne spadki temperatury i dokuczliwa wichura. Lasy wskutek tego mogły rosnąć i dawniej jedynie w dolinach i to nie wszędzie, gdyż są doliny bezludne, nieuprawne, gdzie zniknięcia puszcz niepodobna objaśnić wykarczowaniem i pożarami, a jednak bezleśne.

Krajowa legenda o nieprzejrzanych, cedrowych, cyprysowych i dębowych borach prędzej wskazuje, że istotnie znaczna część ludności przyszła z okolic leśnych, mianowicie ze wschodniej Mandżuryi.

Góry Korei mało są jeszcze zbadane, ale z kierunku rzek oraz ich wielkości należy wnioskować, iż niezliczone pasma skaliste, węzły, grzbiety i łańcuchy, wypełniające półwysep, zlewają się w głębi lądu w potężny, jednolity wał, idący z północy na południe, niby kość pacierzowa krainy. Poczyna się on w Mandżuryi na wysokiej płaskowyżynie, uwieńczonej wygasłym wulkanem Pak-tu sań (8,000 stóp n. m.); stąd wypływają trzy wielkie rzeki: Sungagari—na północ, Amok-kau (po chińsku Jalu)—na zachód i Tu-mań-gan—na wschód. Poczynając od Päk-tu-san-skiej płaskowyżyny, górska wypukłość korejska stopniowo zniża się ku południowi, przybierając jednocześnie coraz wyraźniejsze cechy górskiego łańcucha, którego linia szczytowa przechodzi bliżej wschodniego brzegu półwyspu i którego stoki wschodnie stromiej opadają ku morzu, niż stoki zachodnie. Ten wał górski znany jest w swej części środkowej i południowej pod nazwą gór Dyamentowych (Kym-hań-san). Na północy mają one do 5,000' wysokości, na południu zniżają się do 3,000'; tam ich linia szczytowa przechodzi środkiem lądu i dzieli go na dwie prowincye, niegdyś dwa oddzielne państewka: Silla i Päk-cżie.

Odpowiednio do charakteru stoków głównego łańcucha górskiego różnią się i wybrzeża półwyspu korejskiego oraz spływające po nich rzeki. Wybrzeża wschodnie są strome, opoczyste, mało mają wcięć, zatok i wysp; morze tuż koło lądu posiada znaczną głębokość (koło 10 sążni). Przeciwnie stoki zachodnie, łagodniej, zbiegające ku morzu Żółtemu, ciągną się daleko pod jego falami w kształcie olbrzymich mielizn ilastych, obnażających się na setki mil kwadratowych w czasie odpływu. Większe wypukłości tworzą tam labirynt drobnych i dużych wysp, szeroką koronką okalających ląd stały i maskujących jego istotną granicę. Żeglowanie u tych brzegów jest bardzo niebezpieczne i wymaga dobrych retmanów.

Rzeki wschodnich wybrzeży są krótkie i mają raczej charakter potoków górskich, z wyjątkiem rz. Nak-ton-hań, płynącej na południe równolegle do końcowego cyplu głównego łańcucha.

Przeciwnie, rzeki wybrzeży zachodnich są o wiele dłuższe, lepiej zasilane w wodę, w dolnym biegu zwykle spławne i płyną w dolinach bardziej otwartych. Do ważniejszych należą: Chań-hań, nad którą stoi miasto Seul i Ta-don-hań, nad którą leży miasto Phion-jan.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Piotr Chmielowski.

[illegible]

Człowiek jest celą więzienną dla wielu różnorodnych istot, które ciągle z sobą się kłócą i wzajem nienawidzą za to, że żyć łącznie muszą. Dziś nazywa się to bogactwem natury ludzkiej, kiedyś prawdopodobnie nazywać się będzie jej niedoskonałością. Bo niewątpliwie ujednostkowiamy się.

Jeżeli Chmielowski był również taką kolonią, albo raczej przymusową spółką różnych ludzi, to niewielu, a i ci ulegali jednemu, który nad nimi panował ogromnym rozumem, ogromną wolą i ogromną prawością. Że w tem małem i wątłem ciele urośnie jakiś ogrom ducha, można było dostrzedz wcześnie. Po raz pierwszy padła na niego moja uwaga w Szkole Głównej, gdy podczas godzin wolnych między prelekcyami zamykał się w pustych audytoryach z pewnym kolegą. Co oni tam robili? Wreszcie przekonałem się: czytali głośno klasyczne utwory łacińskie. Bo Chmielowski nie chciał zmarnować ani chwili na włóczęgę po mieście, na wycieranie kątów knajpy, na pustą gadaninę. Był już wtedy i pozostał do końca życia zdumiewającym skąpcem czasu i równie zdumiewającym rozrzutnikiem swych sił. Jak wielki monarcha, który pragnie każdy dzień swego panowania uczynić historycznym, tak on w każdy moment swego życia pragnął włożyć część pracy. Uczył się też niezmordowanie i czytał nienasycenie — wszystko: poezyę, filozofię, historyę, dzieła przyrodnicze, co tylko było promieniem słońca literatury. W drewnianym domku przy ulicy Górnej można go było zastać nad książką o każdej porze wolnej od lekcyj słuchanych lub dawanych. Dziś pochłaniał Macaulaya, za tydzień Moleschotta, Rankego, Vogta, Drapera, Zimorowicza lub Reja. Ciągła i systematyczna praca zgromadziła szybko w jego głowie olbrzymi zasób wiedzy, nad którym czuwała pamięć niezmiernie wierna i niezmiernie ścisła. O erudycyi Chmielowskiego nie mogą mieć dokładnego pojęcia nawet czytelnicy jego dzieł, gdyż posiadał on w swym umyśle wielkie magazyny wiadomości, których nigdy nie otwierał i nie zużytkowywał. Nie dziw też, że w krótkich stosunkowo odstępach czasu i pomimo ciężkich zajęć zarobkowych, mógł złożyć społeczeństwu stos grubych tomów badań, z których każdy zadziwiał swą rozległą uczonością.

Już sama ta nadzwyczajna erudycya musiała być czynnikiem reformatorskim w dziedzinie historyi literatury polskiej, której Chmielowski wyłącznie się poświęcał, a którą bujnie zachwaściły rozmaite dyletantyzmy. Poznać bezpośrednio całą tę literaturę, przeczytać wszystkie jej twory aż do najnędzniejszych — już to samo znaczyło dokonać przewrotu w jej przedstawieniu i ocenie. Chmielowski wszakże swą siłę erudycyjną wzmocnił jeszcze nową metodą, nakazującą objaśniać płody piśmiennicze współdziałaniem wpływów miejsca i czasu. To też tła jego obrazów historycznych są w swem drobiazgowem i mistrzowskiem umozajkowaniu nieporównane. Dla każdego z nich musiał on rozkopywać w pokładach przeszłości szerokie i głębokie szyby dociekań, z których wydobywał obfity materyał dotychczas nikomu nieznany. Naturalnie teraz, gdy przerąbał i przetorował drogi, jego następcy chodzą po nich łatwo i szybko; ale ile w tej ich wygodzie spoczywa jego mozołu?

Ludzie nie zadawalają się nawet granicami nadzwyczajności, żądają jeszcze nieprawdopodobieństw. Chmielowski nie miał wrażliwości artystycznej — i to mu ciągle wymawiano. Rzeczywiście nie miał: nie odczuwał ani muzyki, ani malarstwa, ani rzeźby, a poezyą zajmował się dlatego tylko, że ona jest sztuką książkową i zawiera najwięcej ze wszystkich pierwiastku rozumowego. Ale czyż to zmniejsza jego wartość jako historyka i krytyka tej samej poezyi? Bynajmniej. Przecie w sądach o niej nie chodzi wyłącznie o wybuchy podziwu lub obrzydzenia, o kiperstwo estetyczne, wyróżniające smakiem piękno od brzydoty; potrzeba nadto chłodnej analizy, oznaczenia powinowactw, wyprowadzenia rodowodów, skucia łańcucha zależności, przyczyn i skutków w objawach bardzo złożonych i zagadkowych. On to czynił — znakomicie.

Narzędzie miary, wagi, dysekcyi rozgrzewa się, rozbłyska odbiciem ognia, ale nigdy się nie zapala. Ucząca dusza Chmielowskiego była takiem narzędziem. On chciał tylko badać, rozumieć i wyjaśniać — niczem bezwzględnie się nie zachwycał i niczego nie potępiał. Pochylenie na którąkolwiek stronę sprzeciwiało się nietylko jego zasadzie, ale i naturze. Skoro spostrzegł w sobie taki ruch jednostronny, zaraz robił przeciwny, prawie mechaniczny dla zachowania równowagi. Stąd też nieraz szalę utworów znakomitych obciążał wielu zarzutami, a lichych pochwałami. Stosunkowo najłagodniej krytykował pisarzów, którym powszechnie odmawiano talentu lub którzy ostro występowali przeciw niemu. Dla dogodzenia ubóstwianej i umiłowanej sprawiedliwości gotów był zawsze popełnić niesprawiedliwość. Uczułby się bardzo grzesznym, gdyby mu udo-

wodniono, że miał przyjaciela — w literaturze, a tendencyę — w wyborze i ustawieniu faktów. Bezstronność i rzetelność uważał za kardynalne cnoty badacza. Jego twierdzeniom można było tak wierzyć, jak tablicom logarytmicznym. Czasem zwyciężały go pewne, ważne względy, które zmuszały do milczenia, ale żadne nie były w stanie skłonić go do kłamstwa. On by niem chyba nie zbawił narodu, chociaż tak go kochał.

Tak kochał, że bohaterów poezyi egzaminował zawsze z katechizmu obywatelstwa. Widziano w tem zadawniony nałóg pozytywizmu; rzeczywiście zaś było to głębokie odczucie potrzeb społecznych. Bywają takie epoki, w których każdy musi być żołnierzem; bywają również takie, w których każdy powinien być dobrym obywatelem kraju. Tego żądał w swym „utylitaryzmie" Chmielowski.

Żądał stale z właściwą mu konsekwencyą i wytrwałością. Z moich towarzyszów starej chorągwi, pod którą niegdyś walczyła „młoda prasa," jedni pomarli, drudzy zdezertowali, inni najęli się do przeciwnych obozów — pozostał tylko wiernym dawnemu znakowi Chmielowski. A niechże nikt nie wierzy bezmyślnym plotkarzom gazeciarskim, że dochował on przysięgi jakiemuś bezlotkowemu i tępemu w swych uczuciach „warszawskiemu pozytywizmowi," który nigdy nie istniał. Nie, on był niezmiennie szlachetnym humanistą — najpiękniejszy i nigdy niestarzejący się tytuł człowieka.

W takim ustroju duchowym musi rozwinąć się radykalizm, jeżeli nie przekonań, to zasad postępowania. Chmielowski, badacz ścisły, krytyk niepodległy, sędzia sprawiedliwy, pisarz prawdzie tylko hołdujący, był też we wszelkich swych stosunkach nieugiętym. Nie miał on w sobie najdrobniejszej myśli do sprzedania lub zamiany na inną. Kiedy przemawiał publicznie, duszę swą otwierał naoścież i wynosił z niej to, co w niej rzeczywiście było. Żadnej pokupnej obłudy, żadnej ugody, co najwyżej — konieczna powściągliwość. Podobnie w czynach — rzetelny, prawy, uczciwy, jeden z tych, których się szuka w dzień z latarnią i rzadko znajduje.

Ciężkie roboty, na które go los skazał prawie od dzieciństwa, a wraz z niemi to wszystko, co się niemiłosiernie dzieliło małą sumką jego zdrowia, posuwało go szybko ku grobowi. Kilkoletnie przebywanie w Zakopanem opóźniło nieco koniec dramatu, przeniesienie się do Lwowa na katedrę profesorską przyspieszyło go. Chmielowski niewątpliwie przewidywał tę możliwość, ale nie cofnął się przed nią, gdyż wolał bodaj na krótko urzeczywistnić dawne swoje marzenia, śmierci zaś się nie bał, a nawet czasem ją przywoływał, ażeby go wyrwała z męczarni i dała mu wieczny odpoczynek. Bo był charakterem mocnym i strasznie zmęczonym.

Żałuję, że temu odchodzącemu tytanowi z czystą duszą dziecka nie mogłem uścisnąć spracowanej a stygnącej ręki i powiedzieć mu: jeżeli na ostatnią chwilę twego życia pada cień niepokoju i jeżeli jest nim wątpliwość, czy pozostawiasz swojemu narodowi spadek godny twych pragnień, to zaśnij spokojnie, bo on otrzyma po tobie wielką puściznę.

I rzeczywiście. Chmielowski zgasł, ale czy nie widzicie, że zapaliło się po nim i idzie dalej z nami wielkie światło?

A. Świętochowski.

Młodzi i starzy.

Uboga jest myśl nasza społeczna pomimo niektórych zewnętrznych zmian: dowodem tego ciągłe poruszanie się wkoło pewnej liczby tematów. Wogóle nic by w tym nie było zatrważającego, gdyż w dziejach kultury istnieją pewne zagadnienia, wciąż powracające, na które każda epoka daje swą odpowiedź. U nas jednak rzecz przedstawia się nieco inaczej. Pisma tygodniowe znowu podniosły dawną kwestyę — starych i młodych — ciekawą i wiecznie „aktualną." Jak jednak przedstawia się ona dzisiaj? I obecnie, jak dawniej, traktują ją z dziwną bezmyślnością, ci którzy pierwsi sprawę tę odnawiają. I obecne odezwania się statecznie myślących nie różnią się w tym względzie; możnaby je ominąć, jak tego pana, którego się o tej samej porze w tem samem miejscu codzień na ulicy spotyka, gdyby nie to, że są one wyrazem poglądów całego szeregu ludzi, echem ciągle nurtującem — tem o czem się wciąż rozprawia, wiecznie z tą samą niedbałością o ścisłe rozgraniczenie pojęć i postawienie kwestyi na jakimkolwiek gruncie, zamiast dzisiejszego wywijania nią w powietrzu. Przedewszystkiem rzadko kiedy spotykamy określenie pojęcia młodych i starych, wywody zaczerpnięte z życia, lecz poprostu —jak to u nas zwykle—buduje się wszystko na mdłej sentymentalności; najłatwiej przecie uderzyć w dzwon oburzenia, krzycząc: „oto na zasłużonych wołają: idźcie spać, nie jesteście więcej potrzebni." Takie traktowanie kwestyi jest typowem; świadomie obrzuca się publiczność niedomówieniami i ogólnikami, nie w celu dowiedzenia czegoś lub przekonania kogoś, lecz wyłącznie aby drażnić różne instykta gromady ludzkiej.

Stanowisko, jakie zwykle zajmują w tej kwestyi „poważni, doświadczeni, rozsądni i starsi" jest stałym anachronizmem, i to prawie zawsze świadomym. Walka młodych ze starymi nie opiera się, jak oni to utrzymują, na fakcie, że młode ambicye spychają dawne, że ludzie, zazdrośni o stanowisko, wpływy, posłuch, dążą do wybicia się za jaką bądź cenę na wierzch. Gdyby tak było — to przed nimi leżałaby daleko łatwiejsza droga. Wszak „starzy," za których przedstawiciela słusznie uważa się organ petersburski, tak chętnie przyjmują do siebie i uznają za swego — każdego, bez różnicy wieku, kto przyjdzie pod ich sztandar i zostanie posłusznym sługą... „zdrowego rozsądku." Wszak honorujecie go panowie, i popieracie. Jaskrawym dowodem tej „serdeczności" jest niedawny bohater chwili, dr. Orłowski — pupil „starszyzny" krakowskiej, przecież on harce odprawiał w obronie waszych zapatrywań, gromił bezkarność i zuchwałość młodych, szczepił zasady rozsądku i hierarchii społecznej. Wieluż podobnych „bohaterów" znaleźć można między „młodymi wiekiem, lecz starymi doświadczeniem" którzy pracują w winnicy—galicyjskich stańczyków. Nic łatwiejszego, jak pożądającemu popularności i uznania zwrócić się do was — nie wymagacie ani talentu, ani wiedzy — tylko podpisania się pod waszemi zasadami — nic więcej.

Młodzi wolą jednak małe zarobki w ubogich, lecz szczerych organach postępowych, niż zasiąść z wami za sutym stołem życia; oni mają odwagę walczyć z wami, którzy prawie wyłącznie macie w swem ręku wszelkie pracodawcze instytucye, a usuwanie kogoś z zajęcia np. biurowego z racyi różnicy przekonań — to oręż wam znany. Pomimo to walczą oni jednak w służbie społecznej postępu. Cóż więc nimi powoduje. Należy raz usunąć nieporozumienie. — I bez tego zostanie jeszcze wiele punktów do sporu, do istotnej walki przekonań a nie intryg i plotek. Młodzi chcą szanować i szanują swoich przeciwników, lecz czy wielu jest godnych tego szacunku? Wy chwytacie ludzi zacnych i, chowając się za ich plecy, wołacie: oto napaść czynią na czystych i szczerych.

W walce przekonaniowej, tj. opartej na owocach przemyślanej pracy duchowej, niema, właściwie mówiąc, starych; wszyscy są młodzi, wszyscy mają swój światopogląd, własne swe ukochanie, własną budowę myślową. To, co u nas nosi miano walki starych z młodymi, ma to tylko wspólnego z walką przekonaniową, że starzy, nie mając własnego słowa do powiedzenia (inaczej nie byliby starymi), rwą szmaty z dawnych sztandarów i powiewają łachmanami przeszłości, wykrzykując głośno i wrzaskliwie puste bez treści hasła, dogadzające lenistwu myśli ludzkiej, gdyż ukazują masie własną jej głuchotę i ślepotę za ideał, do którego należy dążyć.

Ta walka to raczej bój młodych o światło z tymi, którzy światło gaszą. Ci gasiciele dnia jasnego starają się za wszelką cenę utrzymać dawne kostniejące bóstwa, tamując i dusząc wszelką nową myśl, nowe poczynanie na wszystkich polach życia duchowego; utrzymują oni mrok i rodzą zaduch, który tłumi rozwój budzącego się młodego życia, płaszczy dusze, łamie śmiałków, odważających się stawić opór zwartej kolumnie, stojącej na straży przeszłości. Młodzi muszą wieść bój z starymi, by życie pchnąć na nowe tory; muszą taranem bić w ściany obskurantyzmu i nieszczerości, by zapewnić wolną drogę nowym ideałom, nowym wartościom.

Różnica między starym a młodym nie leży jednak, jak powiedzieliśmy wyżej, w mechanicznem pojmowaniu pewnego wieku. Między starymi krzątają się gorliwie młodzi i naodwrót, w szeregach młodych spotkać można niejedną głowę przyprószoną siwizną.

Stary to ten, kto stracił zdolność do samodzielnego pojmowania zjawisk, do patrzenia na rzeczy bez szkieł i zastępuje ją zegarkowem łączeniem pewnych, ustalonych pojęć; stary to ten, kto myśli do pewnej tylko granicy, której nigdy nie przekracza; kto czuje tylko to, co cały szereg bliskich mu, osłabionych (często od urodzenia) umysłów; kto uznaje wszelkie autorytety i powagi, prócz autorytetu własnej, samodzielnej pracy umysłowej i uczuciowej. Myśl jego — wypełzła, wypłowiała; uczucie—zmanierowało się, wszystko, co mówi, jest płytkiem, bezmyślnem powtarzaniem tego samego w kółko, przeżuwaniem tego, co do jego czasów ludzkość zdobyła, nie posuwając się ani krok dalej. Zimny egoista, nie może on wznieść się ponad słupek graniczny, który mu rozsądek na bliskiej grzędzie stawia. Młodym właściwie nie był on nigdy.

Starość to zaprzeczenie życia, bo życie to wieczna, nieśmiertelna młodość; jeśli więc ona staje wpoprzek drogi, idącym ku przyszłości, należy ją usunąć.

Młody to ten, kto wszedł w życie pełen siły i wrażliwości na ruch powszechny, będący przejawem życia, i siły tej nie zatracił, lecz rozwinął ją, utrzymał bez względu na konsekwencye, do których wiedzie myśl, uczucie nieznające granic i zapał; kto nie ustał, nie ochłódł, nie zleniwiał w szukaniu treści tajemnic bytu. Prometeusz jest symbolem tej nieugiętej potęgi twórczej młodości; tej młodości — wiecznej przemiany, wiecznego różnicowania się, zamierania jednych wartości i naradzania innych, głębszych, doskonalszych; kiedy myśl nieustannie pracuje, uczucie nie da się ująć w manierę — oboje, wiecznie świeży, wiecznie niespokojni, dążą w przyszłość, łakną nowej zorzy, nowego słońca. Młodym jest ten, kogo nie męczy trud ży-

cia, ciągły wysiłek, wieczne szukanie i wieczna tęsknica.

Czy wszyscy nasi przedstawiciele grupy młodych, niezwiązani ściśle i polemizujący z sobą zajadle, są w zupełności tacy? Nie mają oni jednolitego programu, walczą na różnych polach życia, nauki sztuki, działania; ich ideały różnią się bardzo; lecz jedno ich łączy—niezadowolenie z teraźniejszości, poszukiwanie nowych dróg. Jedno hasło wspólne jest im wszystkim: precz z skostniałemi wartościami! Pragniemy światła, wolności dla ducha ludzkiego.

Podczas mej włóczęgi po świecie, znalazłem się raz przypadkiem w obcem mieście, w małym pokoju, gdzie zebrana była grupa ludzi różnego wieku, różnej płci, i położenia towarzyskiego. Byłem w tem towarzystwie po raz pierwszy — milczałem, obserwowałem. Raptem rozmowa się urwała, niektórzy z obecnych powstali — do pokoju wszedł starzec z długimi, siwymi włosami, ruchy jego były nieśmiałe. Przywitał się z paru osobami i usiadł, widać było, że chód go zmęczył. Obecni patrzyli na niego z miłością i pogodą, snać drogim był ich sercu. Po chwili starzec podniósł się i zaczął mówić. Treści słów jego nie pamiętam, lecz do dzisiaj tkwi mi w uszach dźwięk jego głosu. Drżący i stary, miał on tyle szczerej, głębokiej wiary, taka siła malowała się na twarzy starca, że wzruszenie ogarnęło wszystkich i czyniło chwilę niepowszednią. Domyśliłem się kto on był. Od młodu szedł za gwiazdą prawdy i do późnej starości nie sprzeniewierzył się służbie — przyszłości. Życie płynęło mu ciężko. I wtedy, kiedy go spotkałem, pracował z trudem na marny kawałek chleba, a jednak nie ugiął się i wiary nie zatracił. On się nie zestarzał, nie walczył nigdy z młodymi, lecz sam wiecznie młody, bojował z nimi przeciw sługom zacofania i obłudy społecznej. Chwila, kiedy po raz pierwszy usłyszałem go mówiącego, wyjaśniła mi zagadnienie młodości i starości: i pojąłem, że starzec ów był prawdziwie i nieśmiertelnie młodym.

br.

Z Szwajcaryi.

Według religii ludność Szwajcaryi składa się z 57,8% protestantów *) i 41,6% katolików, prócz tego 12,263 Żydów i 7,359 osób innych wyznań i bezwyznaniowych. Ludność katolicka przeważa liczebnie w środkowej i południowej Szwajcaryi, na wschodzie, północy i zachodzie natomiast — protestanci.

Obok wyznania rzymsko-katolickiego mamy tu staro katolickie, zwane też chrześciansko-katolickiem **). Różni się ono od rzymsko-katolickiego pod względem dogmatycznym: nieuznawaniem nieomylności papieża, pod względem zaś organizacyi i obrządków zbliża się poniekąd do protestanckiego. Obowiązkowy celibat księży, obowiązkowa spowiedź i post są w nim zniesione. Przedstawia młodą organizacyę kościelną i z tego powodu prozelityzm gra w nim większą rolę, zgromadzenie ogarnia duch bardziej żywego chrystyanizmu. Na uniwersytecie w Bernie założono w 1874 r. osobny wydział teologiczny tego wyznania. Posiada wybranego przez synod biskupa narodowego. Protestantyzm rozpada się na wiele różnych sekt, żyjących obok siebie w zgodzie. Wolnomyślność duchowieństwa kościoła reformowanego jest rozległą. Słyszałem kazania wypowiadane w duchu Renana. Wolnomyślni duchowni są szanowani.

Na stosunkowo zgodne współżycie różnych wyznań wpływa nietylko to, że muszą istnieć obok siebie, ale też i państwowy system wychowawczy. W książkach szkolnych, z których się uczą dzieci kantonu Zurychskiego, czytamy: „Tolerancya religijna wpływa na powolne wyrównywanie się różnic pomiędzy religiami. Samo zaznaczenie różnicy wyznania uważa się za złe wychowanie. Nietolerancya religijna jest niepatryotyczną, ponieważ wszyscy obywatele kraju obowiązani są współdziałać dla dobra ogólnego, zaś podnoszenie różnic religijnych rozdziela obywateli." Szkoła jest bezwyznaniową, ale ponieważ dotychczas nie wyrobiła się ogólna, silna etyka społeczna, nieoparta na wyznaniach, przeto daje się zauważyć śród ludności pewien ruch niezadowolenia, uzewnętrzniający się w zbiorowem zakładaniu kosztem prywatnym pensyj żeńskich oraz seminaryów nauczycielskich żeńskich i męzkich, owianych duchem religijnym, pod nazwą nowych lub wolnych szkół.

Prawie wszystkie kantony wydają na oświatę więcej, niż na którąkolwiek gałąź gospodarki państwowej; chociaż w wielu razach przeszkodę naturalną w rozwoju oświaty stanowi wpływ duchowieństwa, widzącego we wzrastającem wykształceniu zbliżający się koniec swej władzy.

Szkoły ludowe są urządzone po większej części wzorowo. Związek kontroluje wyniki nauczania przy corocznie odbywających się egzaminach rekrutów, ponieważ służba wojskowa jest dla wszystkich obowiązująca. W 1885 r. te egzaminy wykazały, że pierwsze miejsce pod tym względem zajmował kanton Bazylea-miasto, 2-gie — Genewski, 3-cie — Thurgau, 4-te — Zurychski, 23-cie—St. Gallen i ostatnie Uri. Egzaminy rekrutów w kantonie Bazyleawieś wykazały w ostatnich latach braki. Wobec tego mają być urządzone państwowe szkoły dopełniające dla przypomnienia i uzupełnienia wiadomości, w niedostatecznym stopniu nabytych, w szkole ludowej wskutek lenistwa, opuszczania lekcyj itp. Bezpłatne uczęszczanie do szkoły dopełniającej ma zobowiązywać wszystkich młodzieńców w wieku lat 18 i 19. Urządzone będą dwa kursy półroczne, razem 40 tygodni, po 3 godziny w tygodniu w dnie powszednie. Za opuszczenie lekcyi bez uzasadnienia — surowe kary. W kant. Bazylejskim silnie jest rozwinięta produkcya fabryczna, rodzice, pracując w fabrykach, potrzebują w domu dzieci do doglądania, stąd opieszałość w nauce.

W kant. Zurychskim szkoła ludowa lepiej postawiona i nauka trwa dłużej, niż w k. Bazylea-wieś, tj. 8 lat obowiązkowych. Dawniej i w kant. Zurychskim termin był krótszy, ale ten system zreformowano i egzaminy rekrutów wykazują niezłe wyniki. Szkoła ludowa składa się z dwuletniej elementarnej i czteroletniej t. zw. realnej. Jeżeli dziecko po sześciu latach nie przechodzi do jakiejkolwiek szkoły wyższej, to obowiązane jest przebyć jeszcze kurs dwuletni w dopełniającej 7-ej i 8-ej klasie szkoły ludowej. W mniejszych i biedniejszych gminach wszystkie 8 klas mają jednego nauczyciela. Byłem na lekcyi w takiej szkole. Dziewczęta i chłopcy siedzą razem. Nauczyciel zaczął lekcyę cytatą z Biblii o budowie domu na skale i na piasku, następnie opowiadał w jasny i przystępny sposób znaczenie tej cytaty, rozbierając szczegółowo wyraz po wyrazie z pomocą uczniów, którzy odpowiadali z własnego popędu, albo chórem, lub też na wyrywki o tem, z jakich części dom się składa, jak się domy buduje, na jakim gruncie, jakie bywają grunta, skład chemiczny kamieni i piasku itd. Dzieci odpowiadały śmiało, częstokroć trafnie, notowały sobie nazwy i wiadomości trudniejsze do zapamiętania. Następnie nauczyciel wracał od rozdrobnionych pojęć odległych do pojęcia domu, stojącego na skale, w przeciwstawieniu do domu stojącego na piasku, łączył pojęcia przeciwstawne razem i zakończył objaśnieniem znaczenia moralnego cytaty. Lekcya była prawdziwie interesująca nietylko dla mnie, ale dla nauczyciela i dla dzieci. Z cytaty biblijnej rozwinął się i wtłoczył w umysły dzieci cały kłąb skojarzonych pojęć pożytecznych. Umysł dziecka wdraża się w ten sposób do myślenia logicznego, do analizy pojęć i do syntezowania powziętych wiadomości. W mózgach młodocianych wytwarza się jakoby sieć wiązadeł, które pozwolą im w przyszłem życiu rzeczywistem wyławiać pożyteczne wnioski. Chcę powiedzieć, że ten system nauczania, wprawdzie trudny, ma prócz innych zalet doniosłe znaczenie wychowawczo-psychologiczne.

W podobny sposób, tylko bardziej systematycznie, prowadzą się lekcye o rzeczach i nauki przedmiotów w szkołach okręgow. Dzieci zachowują zeszyty z notatkami i mają z nich później korzyść. Widziałem takie zeszyty, zawierające dużo ciekawych i ważnych wiadomości o rzeczach, tyczących się najbliżej obywatela danej miejscowości i kraju. W tych zeszytach maluje się też umysł dziecka, zapisuje ono bowiem to, co wydaje mu się najważniejszem i najbardziej godnem zapamiętania. Kierunek szkoły odzwierciedla się w podręcznikach. W podręczniku dla szkół okręgowych czytamy: „Prócz wpływu na zgodne współżycie ludzi rozmaitych poglądów zakłady wychowawcze mają zadanie podnoszenia siły jednostek i ogółu, ponieważ ona wzmaga się z wykształceniem."

Mylnem jest rozpowszechnione u nas mniemanie o braku wykształcenia u Szwajcarów. Są oni gburowaci i nieokrzesani w towarzystwie, nie umieją opowiadać i wykazywać swoich wiadomości w rozmowach bezcelowych, zresztą niebardzo im są potrzebne wiadomości o nas. O krajach zachodnich wiedzą dużo, a przedewszystkiem znają swój kraj. Są to chłopi. Wszak tylko czwarta część ogólnej liczby rodzin szwajcarskich nie posiada ziemi, wielkich zaś właścicieli niema. Spotkałem bardzo nieokrzesanego Szwajcara, który nigdy nie będąc w naszych stronach, mówił jak się należy o Niemnie, Kownie, Grodnie. Pytałem, skąd wie o tem — ze szkoły. Dziwimy się, że często nie wiedzą, do jakiego państwa należy Kraków, a czy u nas każdy wie o Solurze, o St. Gallen, o Rapperswilu?

Miasto St. Gallen jest ośrodkiem handlu koronkami bawełnianemi i lnianemi, rozchodzącemi się po całym świecie i wytwarzanemi w kantonie tegoż imienia oraz w przyległym Appenzell. Z miejscowości w St. Gallen wyróżnia się pięknością okrąg Jeziorny, nad brzegiem jeziora Zurychskiego. Siedzibą sądu okręgowego są naprzemian Rapperswil i Uznach. Rapperswil leży w uroczej miejscowości, na cyplu wrzynającym się w jezioro, brzegi miejscami sitowiem porosłe. Gra barw i odcieni na jeziorze najwspanialsza w tej okolicy. Gdy promyki zachodzącego słońca ześlizgują się po drobnych falach, po powierzchni wód rozlewają się wzory tęczowe, mieniąc się w liniach i pasmach. W pełnym blasku dnia, podczas lekkiego wietrzyku, jezioro świeci tysiącami iskier, tworząc obraz czarodziejski, niby spadających snopów światła kruszącego się i rozsypującego w drobniutkie i skrzące się cząstki. Przez jezioro przerzucona, oba brzegi łącząca, tama z żelaznym mostem zwodzonym. Koło tamy wznosi się z wody obelisk — kamień trzech kantonów, Zurych,

*) Daty dotyczące ludności odnoszą się do ostatniego, ogólnego spisu z 1 grudnia 1900 r. i wyjęte są z dziełka „Neues Orts- und Bevölkerungslexikon der Schweiz," Zürich, 1904.

**) Starokatolicyzm rozpowszechniony poniekąd we Francyi, najbardziej zaś w Niemczech. W Katowicach na Śląsku istnieje gmina tego wyznania

Szwyc i St. Galen, w miejscu gdzie schodzą się ich granice. Rapperswil ma 3,414 mieszkańców. W miasteczku budowle starożytne, ładny ratusz w rynku. Ponad miasteczkiem wznosi się kościół ze skarbcem, zawierającym starożytne, drogocenne przedmioty, obok niego wyniosły zamek. W zamku mieści się muzeum i biblioteka. Ze sprawozdania za rok 1902 dowiadujemy się, że zbiory muzeum powiększyły się tak dalece, iż trzeba będzie bibliotekę przenieść do osobnego pomieszczenia. Stan zbiorów przedstawiał się, jak następuje: przedmiotów pamiątkowych 1,046, przedmiotów numizmatycznych 5,444, rzeźb 510, obrazów olejnych 306, akwareli 281, miniatur 99, rysunków oryginalnych 963, rycin 17,951, fotografij 7,487, nut 1,089, druków 45,426, rękopisów 5,940, rozmaitości 375. W 1902 r. przybyło 5,856 przedmiotów, pomiędzy nimi obrazy wartościowe, druki, rękopisy. Z pamiątek i dokumentów, dotyczących sprawy wrzesińskiej, urządzono coś w rodzaju archiwum. W ciągu r. 1902 biblioteka otrzymywała 95 czasopism: z Królestwa 17, z Galicyi 33, z Poznańskiego 5, ze Śląska 6, z Bukowiny 1, z Petersburga 1, z Wiednia 1, z Ołomuńca 1, z Berlina 1, z Lipska 1, z Florencyi 1, z Ameryki 14. Zwiedziło muzeum w roku sprawozdawczym 3,734 osób, a mianowicie: Amerykanów 23, Anglików 26, Czechów 3, Czerkiesów 3, Duńczyków 1, Filipinczyków 1, Finlandczyków 4, Francuzów 267, Hiszpanów 2, Holendrów 8, Japończyków 2, Niemców 277, Polaków 779, Rosyan 10, Szwajcarów 2,245, Szwedów 6, Węgrów 9, Włochów 66.

W odległej od zamku części miasteczka Rapperswilu znajdują się fabryki, przędzalnia bawełny. Pracodawcom dokuczają strajki. Niedawno w stolicy kantonu związek pracodawców zwrócił się do rady miejskiej o wydanie rozporządzenia przeciw bezrobociom. Wniosek ten został odrzucony przez radę na zasadzie, że urzędy neutralne powinny w czasie tego rodzaju nieporozumień starać się tylko o zachowanie porządku, spokoju i obrony swobody osobistej. Przepisy kodeksu karnego dostateczne są pod tym względem, ponieważ zabraniają wdzierania się do mieszkań, pomieszczeń fabrycznych, warsztatów, magazynów, placów budowy itp. Zabrania też kodeks karny gwałtów na osobach, pogróżek, przymuszania do opuszczenia roboty itp. Dotychczasowe doświadczenia, uzyskane w rozmaitych miastach Szwajcaryi ze specyalnemi, przeciw strajkom zwróconemi rozporządzeniami — nie zachęcają do naśladowania."

Położenie robotników nie jest jeszcze uregulowane w Szwajcaryi; 9 inspektorów fabrycznych w sprawozdaniu z 5 marca dochodzi w sprawie rewizyi prawodawstwa, dotyczącego odpowiedzialności za wypadki na fabrykach, do następującego wniosku: „Ogólne, obowiązkowe, państwowe ubezpieczenie od wypadków jest jedynem, racyonalnem rozstrzygnięciem tej wielkiej sprawy; należy się wszelkiemi siłami starać o jego osiągnienie. Państwowy fundusz ubezpieczenia wynosił 31 grudnia 1903 r.— 11,902,943 fr. 27 cen. Wzrósł do tej sumy przez dołożenie ½ mil. fr. z nadmiaru dochodów Związku za r. 1902. Ten nadmiar wynosił 666,759 fr. 6 c. W roku bieżącym fundusz ubezpieczenia zapewne się jeszcze zwiększy, ponieważ rachunki państwowe Związku za r. 1903 zamknięto nadmiarem dochodu 2,400,000 fr. Rządowi związkowemu przedłożono też projekt o ubezpieczeniu urzędników od wypadków.

Wspominając o sprawach Związku zanotować muszę, że departament finansów ustanowił komisyę rzeczoznawców dla oceny projektu nowego prawa, dotyczącego urządzenia banku centralnego. Komisya złożona ze specyalistów z rozmaitych kantonów przyjęła projekt departamentu finansów na ostatniem posiedzeniu 17 marca i przedłożyła go Radzie związkowej do zatwierdzenia. Ma być urządzony „Bank Narodowy Szwajcarski." Związek oddaje mu wyłączne prawo do wypuszczenia banknotów. Kapitał zakładowy 50 mil. fr. podzielony na akcye tysiącfrankowe. Udział w podpisaniu akcyj pozostawionym będzie w ⅖ kantonom, w ⅕ dotychczasowym bankom komisowym i w ⅖ osobom prywatnym. Zarząd banku będzie spoczywał w ręku rady bankowej, składającej się z 40 członków, z których 15 wybieranych przez zgromadzenie generalne oraz 25 naznaczonych przez Radę związkową. Bezpośredniem kierownictwem zajmować się będzie dyrekcya, wybierana przez radę związkową z pośród kandydatów przedstawionych przez Radę bankową.

Dotychczas nie było banknotów państwowych, natomiast w bankach kantonalnych i prywatnych wypuszczano emisye banknotów pod kontrolą Związku na warunkach zawarowanych prawem z 1881 r. W końcu 1884 r. cyrkulacya papierów wynosiła 134,273,000 fr. Związek może osiągnąć wyłączne prawo na wypuszczanie banknotów albo za pomocą utworzenia banku państwowego albo też centralnego banku akcyjnego. Pierwszy projekt upadł przy głosowaniu ludowem w 1896 r. Teraźniejszy jest kompromisowy.

A. Wróblewski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Dziwactwa.

Tocząca się obecnie wojna pobudziła prasę do zaznajamiania ogółu z życiem Japonii, którem dotąd on wcale się nie zajmował. Czytelnicy gazet dowiedzieli się istotnie w tym przedmiocie wielu rzeczy ciekawych, dziwnych, a nawet całkiem niewiarogodnych. Że Japończycy zdejmują obuwie przed progiem mieszkań, że siedzą i sypiają na podłodze, że brzydzą się mlekiem, że nie mają dwukonnych dorożek na gumach — w to wszystko możemy uwierzyć; ale że codzień i to po kilka razy się kąpią — niepodobna. To musi być jakaś plotka. Bo przypomnijmy sobie, ile trudu nas kosztowało i jaką dumą napełniło zbudowanie w Warszawie kilku łaźni ludowych, których Japończycy dla odpowiedniej ilości mieszkańców mieliby kilka tysięcy! Jakto, więc można istnieć bez męki, bez odrazy, bez obawy o trwałość społeczeństwa, nie mając brudnych suteren, poddaszy, chałup chłopskich, izdebek stróżów, sąsiadujących z ustępami? Może się ostać uorganizowana gromada ludzka, w której obiady są jadane na podłogach, a gość przybywający do hotelu musi natychmiast zanurzyć się w wannie? Może utrzymać się moralność tam, gdzie kobiety bez wstydu kąpią się na podwórzach, niezasłonięte przed oczyma ciekawych? My tego wszystkiego nie rozumiemy. Pięć czy sześć zakładów łaziennych w Warszawie zapełnia się przez cały dzień kilka razy na rok przed wielkiemi świętami; w zwykłym zaś biegu rzeczy płuczemy się tylko wewnątrz i to piwem. Gdyby Japończycy chcieli naszego brata (lub siostrę) oporządzić według swego gustu, musieliby go (lub ją) gotować przez tydzień w kotle i kilkakrotnie zmieniać wodę. A nam jest dobrze w naszym pokoście brudu i pękamy od śmiechu, gdy Towarzystwo hygieniczne przypomni nam od czasu do czasu, że kąpiel jest bardzo zdrowa.

Półgębkiem.

Gazeta Handlowa, zaznaczając fakt przemilczenia w nekrologach prasy o społecznej działalności Chmielowskiego, powiada: „Żyjemy w czasach marnego oportunizmu. I oto chlubnej pamięci nieśmiertelnego pisarza oddać trzeba hołd uznania, lecz trzeba ukryć, czem był istotnie, trzeba zataić przed czytelnikami, że mógł mieć olbrzymie wpływy i niepożyte zasługi historyk literatury, który był zarazem przodownikiem pozytywizmu, bojownikiem postępu, pogromcą obskurantyzmu. Zatarto, zamputowano cechy najwybitniejsze Chmielowskiego, bo strusiom tym wydawało się, że gdy sami głowy w piasek ukryją, odwrócą uwagę od charakteru wielkiej postaci."

Wszystko to prawda, ale należy się wyrozumiałość małości, która tu jest głównie czynną. Naprzód ona wogóle nie lubi i nie rozumie ludzi większej miary i traktuje ich zawsze, jak przerośnięte zęby w szczęce, która najlepiej żuje, gdy ma wszystkie równe. Powtóre boi się, ażeby entuzyazmem dla człowieka, który szerzył światło nieprzyćmione prawomyślnością i wypłaszał z głów przesądy, nie odstręczyła od swego sklepu paru klientów, co naraziłoby ją na stratę kilkunastu rubli. Kto może przewidzieć, czy z jakiejś prenumeracyjnej nory nie wypełznie jakiś bliski krewniak jaskiniowców i nie zawoła: „A to co znowu? Milczcie, bo nie będę abonował!" Takiego zakazu posłucha $^{9}/_{10}$ naszej prasy. Mimo to po cichu karmi się ona chlebem „pozytywistów," i gdyby ściśle zanalizować obecne jej poglądy, okazałoby się, że one w znacznym stopniu są kradzioną bielizną z wyprutymi znakami.

Wolny uniwersytet polski w Zakopanem.

Potrzebie zaznajamiania ogółu z ostatnimi wynikami wiedzy próbowano zadośćuczynić na Zachodzie przez zakładanie wolnych uniwersytetów. Instytucye te nie zawiodły oczekiwań swych fundatorów, rozwijając się coraz pomyślniej. U nas zapoczątkował ten ruch uniwersytet krakowski, urządzając przed dwoma laty wykłady wakacyjne. Teraz mamy do zanotowania nowy krok naprzód i to znacznie ważniejszy od poprzedniego. Wszystkie organy prasy naszej przyjęły z uznaniem pojawienie się wolnego uniwersytetu polskiego, założonego przez Towarzystwo wyższych kursów wakacyjnych w Zakopanem. Lecz oprócz uznania należy się i poparcie temu ważnemu dziełu. U nas ogół nieprzyzwyczajony do nowości najlepsze poczynania przyjmuje apatycznie i rychło puszcza w niepamięć. A wykłady te zapowiadają się niezwykle ciekawie. Obiecali swój współudział tacy przedstawiciele nauki naszej i literatury, jak Mahrburg, Twardowski, Baudouin de Courtenay, Limanowski, Balcer, Radliński, Gumplowicz, K. Krauz, Heinrich, Krzemiński, Witkowski, Krzywicki i inni. Miejsce doskonale wybrane, zapewnia jednocześnie używanie rozkoszy umysłowych i pięknej przyrody otoczenia. Koszta niesłychanie małe. Za wykłady, mieszkanie i utrzymanie 110 koron miesięcznie, wobec zwykłej w Zakopanem drożyzny — suma bajecznie mała. Na czele pięknego przedsięwzięcia stoi prof. dr. Odo Bujwid. Pragnie ono: „podniesienia poziomu wiedzy i myśli krytycznej w społeczeństwie polskiem za pomocą szeregu wykładów, mających nietyle zaznajamiać z ostatniemi zdobyczami nauki, lecz w pierwszym rzędzie — z metodami badań naukowych, a przez filozoficzne traktowanie każdego przedmiotu — pobudzać słuchaczy do samodzielnych badań i prac, po-

młódź im w wyrobieniu sobie światopoglądu, w rezultacie stworzyć atmosferę, w której dojrzewają umysły wolne...“ Wykłady mają dać odbicie „wszystkich prądów i czynników umysłowych, wolnych od tendencyjności bądź to w kierunku religijnym, bądź stronniczo-politycznym.“ Zadanie pojęto głęboko i z prawdziwem zrozumieniem potrzeb czasu. Nazwiska wykładowców każą wierzyć, że założenie będzie wypełnione. Trzeba więc przypuszczać, że i słuchaczy nie zbraknie, że dość się znajdzie miłujących wiedzę i pragnących jej, którzy nie omieszkają skorzystać z tak dobrej i jedynej w swoim rodzaju sposobności rozszerzenia widnokręgów swej myśli, wzbogacenia umysłu najnowszemi zdobyczami nauki, najważniejszymi wynikami długich i mozolnych częstokroć dociekań—że ci poprą usiłowania ludzi zacnych, gorąco potrzeby swego społeczeństwa odczuwających i z zapałem dla dobra jego pracujących. Wszystko jest ułatwione—trzeba tylko korzystać.

Nasza kultura.

„W 1903 r. przy 9,000 automatów czynnych znaleziono w puszkach pieniężnych 64,638 jednokopiejkówek i 12,798 monet fałszywych, guzików i blaszek zamiast 77,436 autentycznych czterdziestówek“ — pisze zarząd zakładów warszawskich, gazowych w polemice z obrażonym abonentem. Cyfry te mówią wiele. Automaty znajdują się nie w mieszkaniu „hołoty“, na którą kuryerki piorunują za jej dzikość, lecz w mieszkaniach przeciętnie zamożnej tak zwanej inteligencyi. Sfery te jednak nie więcej widocznie mają rozwinięte poczucie sumienności, uczciwości itd. niż owa „hołota.“ Więc wogóle u nas tam, gdzie niema bezpośredniego nadzoru, bardzo często można się spotkać z brakiem poszanowania cudzej własności i z niezwykłą zabiegliwością o zaoszczędzenie własnej kieszeni. I tacy my we wszystkich objawach życia — powierzchownie niby kulturalni, a w istocie najprawdziwsi, najtypowsi barbarzyńcy ze słabem uświadomieniem własnej godności i cudzego prawa, nawet swego osobistego interesu. Bo przecież taki pan czy pani, którym przyszła do głowy dowcipna myśl wrzucenia do automatu fałszywej dwudziestówki, miedziaka lub guzika nie łudzi się chyba nadzieją, że dar jego zostanie wdzięcznem sercem przyjęty. Więc jaka może być w tej zabawie rachuba? i gdzie wstyd się podział?

BADANIA NAUKOWE.

NAJNOWSZE BADANIA nad trawieniem ciał białkowych.*)

—•—

Fizyologia, posiłkowana przez chemię biologiczną, czyni szybkie postępy. Co lat parę ukazują się nowe prace, przynoszące wyjaśnienie zawiłych i ciemnych kwestyj, dotyczących tajemnic budowy organizmu i jego życia. Od Arystotelesa aż do chwili obecnej ciągnie się szlak nieprzerwany, po którym kroczą nauki przyrodnicze, zmierzając do celu istotnego: poznania życia.

Przemiana materyi, odbudowa zniszczonych tkanek przez czerpanie pokarmów ze świata otaczającego: organicznego i nieorganicznego — stanowi jedno z zasadniczych zagadnień fizyologicznych. Na czem polega istota trawienia? Na to pytanie odpowiadano rozmaicie w różnych okresach rozwoju nauki.

Ostatnie lata przyniosły bogaty plon spostrzeżeń i wniosków, które stają w sprzeczności z dotychczasowymi wynikami badań. Spostrzeżenia te dotyczą roli, jaką przypisać należy poszczególnym częściom przewodu pokarmowego, oraz wykrycia nieznanych dotychczas fermentów rozpuszczalnych, działających na pokarmy.

Z tradycyami dawnej fizyologii, sięgającej jeszcze czasów Arystotelesa, Plistonicusa, Galiena, zerwał zaledwie wiek XIX. Fizyologia ta uważała żołądek za zasadniczy narząd trawienia, sam zaś proces przerabiania pokarmów porównywała do zjawisk, zaczerpniętych z obserwacyi życia codziennego. Hippokrates np. uważał trawienie za gotowanie się potraw w żołądku, który porównywał do tygla; dla Galiena, Van Helmonta było ono fermentacyą, a przewód pokarmowy rodzajem naczynia, jakie służy do przygotowywania alkoholu; Plistonicus uważał czynność trawienia za naturalne psucie się, za gnicie. Nieobeznani z chemią i jej wnioskowaniem badacze ci jednak wyrażali napół świadomie jednę i tę samą myśl — przemiany chemicznej, będącej wynikiem i celem trawienia. W połowie XVIII w. Réaumur i Spallanzani badali sok żołądkowy ptaków; o przemianach chemicznych, zachodzących w innych częściach przewodu pokarmowego nie miano jeszcze wówczas pojęcia.

Dopiero w połowie XIX-go wieku, z ukazaniem się prac Claude Bernarda, Kühne'a zmienia się pogląd na znaczenie żołądka w procesie trawienia. Narząd ten przestaje być w mniemaniu fizyologów głównem laboratoryum chemicznem, lecz spełnia jedynie funkcyę składu, chwilowego zbiornika, z którego pokarmy przechodzą do jelit i tam ulegają rozszczepiającemu działaniu soku trzustkowego. Równocześnie wykazano też, że z pomiędzy czterech zasadniczych substancyj pokarmowych (cukrów, tłuszczów, ciał białkowych i mącznych), tylko nieznaczna ilość ciał białkowych ulega rozkładowemu działaniu soku żołądkowego. Zudowodnieniem tych wniosków chemii biologicznej o podrzędnej roli, jaką odgrywa żołądek w gospodarstwie organizmu, pospieszyły prace zoologów, którzy stwierdzili, że istnieją zwierzęta nieposiadające żołądka; za przykład posłużyć może wiele ryb i lancetnik; wycinanie żołądka nie sprowadzało śmierci zwierzęcia — świadczyło to więc, że ten narząd nie był niezbędnym do życia. Ograniczono też z czasem znaczenie żołądka tylko do walki z mikrobami, wyjaśniając jego działalność antyseptyczną obecnością ostrych kwasów w jego soku. Natomiast naczelne miejsce w procesie przerabiania pokarmów wyznaczono trzustce. Lecz po upływie kilku lat nowe badania wykryły zależność funkcyj, przypisywanych temu narządowi, z jednej strony od czynności żołądka, z drugiej zaś od jelit.

Według jednego z fizyologów współczesnych cały układ trawienia jest wielkiem laboratoryum chemicznem, w którem współdziałają rozmaici pracownicy; laboratoryum to dzieli się na drobniejsze, mniejsze pracownie, w których przygotowują się odczynniki, potrzebne dla centralnego ogniska. Zależność funkcyonalna jednoczy poszczególne części i tworzy z nich całość skomplikowaną, lecz harmonijnie działającą.

Najnowsze badania wykazały, że czynności trzustki i jelit zależne są od żołądka: kwaśny jego sok bowiem wywołuje tworzenie się *sekretyny*, płynu, pobudzającego zdolność wydzielniczą trzustki. Taż sama kwaśna reakcya zdaje się spowodowywać podrażnienie, wywołujące obfite wydzielanie się soku jelitowego. Nadto sok jelitowy zawiera *kinozę*, substancyę, bez której sok trzustkowy byłby niezdolnym do trawienia ciał białkowych. — A zatem żołądek jest jakby motorem, wprowadzającym w ruch cały aparat trawienia. Po za tem stwierdzono również zdolność żołądka (kwestyonowaną dawniej) do trawienia substancyj mącznych, zawierających inulinę, jak np. cykorya.

Badania powyższe zapoczątkował Pawlow, w ślady jego poszli Cohnheim, wynalazca *crepsyny*, Bayliss i Starling, fizyologowie angielscy, wreszcie uczony francuski Delezenne.

Badania ich wkraczają w dziedzinę chemii fizyologicznej. Doświadczenia wymagają przedewszystkiem znacznej ilości soku trawiącego w stanie możliwie czystym, zbliżonym do stanu naturalnego. Dla otrzymania go wymienieni powyżej badacze stosowali dwie metody: pierwsza polegała na umieszczeniu w wodzie kawałka posiekanej tkanki badanego gruczołu; sok ulegał częściowemu rozpuszczeniu, i płyn, otrzymany w ten sposób zdawał się zbliżonym do soku, wydzielanego przez gruczoł. Do roku 1900 w badaniach nad wydzielinami trzustki i jelit posługiwano się jedynie tą metodą. Drugi sposób polega na wprowadzeniu do otworu, przeciętego w przewodzie gruczału, rurki szklanej, przez którą wydzielina gruczołu może spływać nazewnątrz. (sondowanie). Claude Bernard sprawdzał identyczność otrzymanego soku trustkowego i zdolność jego do przeistaczania wodanów węgla w cukier, emulsyowania i zmydlania tłuszczów, zestawiając obie metody.

Pierwsza z tych metod nie utrzymała się; sok otrzymywany przez rozpuszczenie w wodzie cząstek gruczołu, nie był czysty — nie mogło więc być mowy o wykryciu istoty trawienia ciał białkowych. Sok trzustkowy, otrzymany sztucznie, rozkładał związki proteiczne, — sok normalny jest pozbawiony tej własności, nabywa jej dopiero wskutek połączenia z kinozą jelit.

Metoda sondowania, którą posługiwali się Pawłow, Delezenne i Frouin, doprowadziła do pomyślnych wyników.

Starożytni uważali trzustkę za rodzaj gruczołu ślinowego. Ojciec anatomii, Galien, twierdził, że trzustka wylewa do jelita wydzielinę, analogiczną ze śliną. Anatomowie XVII w. zajmowali się badaniem tego narządu; Jerzy Wirsung znalazł przewód jego u człowieka. Nieco później nad poznaniem budowy i czynności trzustki pracowali Graaf i Brunner, który operował ten gruczoł na wielu psach. Lecz dopiero po upływie dwustu lat Mering i Minkowski wykazali istotne znaczenie tego narządu w sprawie tworzenia cukru u zwierząt. Dzięki ich pracom trzustka nabiera w fizyologii znaczeniu pierwszorzędnego.

Lecz najważniejszą jest kwestya czynności trzustki w rozkładzie ciał białkowych. Badania Cl. Bernarda stwierdziły działanie soku trzustkowego na tłuszcze, mączkę i ciała azotowe. Mięso surowe pod wpływem tego soku mięknie, gotowane ulega rozpuszczeniu. Claude Bernard wywnioskował, że trzustka przyczynia się do rozłożenia trzech głównych grup substancyj pokarmowych.

Odtąd chodziło o poznanie, na czem polegał ten rozkład. Wyróżniono 3 czynniki rozkładowe: *amylazę*, przeistaczającą ciała mączne w cukier (maltozę), *lipazę*, rozkładającą, czyli zmydlającą tłuszcze i *trypsynę*, która rozpuszcza ciała białkowe, rozkładając je na peptony, a więc rozszczepiając cząstkę (drobinę) białka działaniem hydrolitycznem.

Badania nad trawieniem trzustkowem nie dotknęły kwestyi bierności soku trzustkowego. Stało się to zapewne skutkiem wadliwości pierwszego ze wspomnianych

*) Opracowane na zasadzie artykułu p. Dastre p. t. „Les travaux recents sur la digestion de l'albumine,“ z *Revue des deux mondes*.

sposobów doświadczalnych. Dzięki pracom Pawłowa i Heidenhaina (1880), którzy stosowali metodę sondowania przy pomocy zadawania ran stałych — udało się zebrać czysty sok trzustkowy. Metoda ta wymaga wielkiej cierpliwości: zwierzę operowane musi być jak najstaranniej doglądanem i utrzymywanem na dyecie, lecz rezultaty wynagradzają pracę.

W 1901 r. Bayliss i Starling poddawali błonę dwunastnicy działaniu płynu kwaśnego i otrzymali *sekretynę*, której wprowadzenie do żył zwierzęcia wywołuje obfitą wydzielinę czystego soku trzustkowego.

Zebrany w ten sposób sok okazał się — o dziwo! — niezdolnym do działania na białko. Delezenne wykazał, że sok trzustkowy jest zupełnie bierny. Nasuwa się więc pytanie: w jaki sposób odbywa się trawienie pokarmów białkowych? Doświadczenie wykazało, że współdziałanie biernego soku trzustkowego z biernym sokiem jelitowym daje reakcyę czynną.

A zatem nowe badania nad istotą trawienia doprowadziły do następujących wniosków: sok trzustkowy nie zawiera fermentu trypsyny, sok jelitowy jest również bierny wobec ciał białkowych, lecz oba zawierają substancye, których synteza staje się czynną. Substancyą tą w trzustce jest protrypsyna, w soku jelitowym kinoza. Pawłów, Bayliss i Starling przemawiają za utajoną zdolnością trawiącą soku trzustkowego, którą pobudza do czynu kinoza.

Faktów analogicznych fizyologia nie szczędzi; dość przypomnieć przemianę, jakiej ulega propepsyna, przeistaczająca się w pepsynę pod wpływem tlenu lub kwasu. Sok jelitowy rozkłada wiele ciał białkowych, a przedewszystkiem peptony; wynaleziona w błonie jelit przez Cohnheima (1901) erepsyna doprowadza do końca rozkład peptonów.

Widzimy zatem, że badania ostatniej doby przenoszą punkt ciężkości w procesie trawienia na jelita, które nietylko rozkładają cukier, lecz i odgrywają tak ważną rolę w trawieniu ciał białkowych.

N. J.

***

NOTATKI NAUKOWE.

— Jules Payot: *Cours de morale.* Paris, 1904. Collin.

Jest to podręcznik do nauki moralności, przeznaczony głównie dla nauczycieli szkół elementarnych i średnich. Autor, zaszczytnie znany na polu pedagogii zarówno teoretycznej jak praktycznej, postawił sobie za zadanie uzupełnić powszechnie zaznaczony brak podręcznika etyki świeckiej, wolnej nietylko od wszelkich dogmatów, ale i od tego stanu umysłu, który nosi piętno długowiekowych tradycyj wyznaniowych. „Podręczniki obecne — powiada Payot — są rodzajem zbioru przykazań, które przyjąć należy w imię jakichś obowiązków, nie szukając ich udowodnienia i wyjaśnienia: jest to więc znowu forma moralności religijnej, opartej na nakazach a nie na rozumowaniu i przekonaniu. Czyń tak! Czyń i nie roztrząsaj!“ Zamiast przeto metody dogmatycznej, arbitralnej, Payot stawia ciągłe odwoływanie się do rozsądku, zastanowienia i doświadczenia, pragnie, aby nauka moralności stała na wyżynie teraźniejszej myśli filozoficznej, tj. aby opierała się na ogólnych wynikach nauki współczesnej. Wreszcie zaznacza, że nie powinien to być szereg dobrze wyuczonych lekcyj, a jedynie rozpatrzenie i wyjaśnienie wszelkich obowiązków człowieka w celu wytworzenia świadomości moralnej. Rozpoczyna tedy swą pracę od wykazania naukowych podstaw moralności — objaśnia ewolucyę człowieka pod względem fizycznym, intelektualnym i moralnym, określa obowiązki względem ciała, umysłu i woli, względem rodziny i wreszcie względem społeczeństwa. Na wyróżnienie zasługuje rozdział poświęcony obowiązkom względem własnego umysłu, tu Payot zaleca rozwinąć i zachować energię, uwolnić rozum od tyranii zewnętrznej i wewnętrznej, pozbyć się uprzedzeń z góry powziętych i wykorzenić łatwowierność. „Ta głęboko zakorzeniona łatwowierność — powiada on — jak również nasze lenistwo sprawiają, że wszyscy jesteśmy mniej lub więcej nasiąknięci przesądami, przyjętymi bez zastanowienia zarówno z lichych książek, jak i z rozmów. Nawet bowiem język przepełniony jest wyrażeniami, określeniami całkiem niewłaściwemi, których mimowoli wszyscy używamy. Tłum utworzył język na swe podobieństwo. Odbiła się w nim miernota umysłowa, nienawiść do wszystkiego co wyższe, sąd naiwny i powierzchowny. To też znajdujemy w mowie znaczną ilość wyrażeń pochlebnych dla bogactwa, władzy, czynów wojennych, a pogardliwych dla dobroci, bezinteresowności, życia skromnego, pracy umysłowej. U ludzi niewykształconych i leniwych łatwowierność sprzyja bujnemu rozkwitowi wierzeń niedorzecznych i przesądów. Na szczęście ta pierwotna łatwowierność ustępuje miejsca badaniu naukowemu, metodycznemu powątpiewaniu; na miejsce pospiesznych sądów zjawia się długie zastanowienie, obserwacya, doświadczenie i krytyka.“

Najsłabszą jest część poświęcona obowiązkom społecznym, Payot bowiem, nie pojmując prądów nowoczesnych, uważa, że jedynym środkiem rozstrzygania zawikłań, powstających pomiędzy pracą i kapitałem, jest rozwinięcie uczucia solidarności — z tej też przyczyny pracę swoją poświęca znanemu apostołowi solidarności, Leonowi Bourgeois, dawnemu prezesowi ministrów i prezesowi Izby deputowanych.

Z.

LITERATURA I SZTUKA.

Ostatnie dzieła Chmielowskiego.

Piotr Chmielowski: *Dzieje krytyki literackiej w Polsce* (z portretem autora i z przedmową Br. Chlebowskiego), str. XVII + 590. *Stylistyka polska wraz z nauką kompozycyi pisarskiej*, str. 416., Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i S-ka. Rok 1903.

Przebiegając myślą dzieje literatury naszej od najdawniejszych czasów do chwili obecnej, jednego tylko widzę pisarza, dorównywającego, acz w innej przeważnie dziedzinie, swą niestrudzoną pracowitością temu tytanowi na niwie badań nad literaturą ojczystą, jakim był zmarły świeżo we Lwowie profesor literatury polskiej i autor „Dziejów krytyki literackiej w Polsce.“ Pisarzem tym był Józef Ignacy Kraszewski, którego działalności Chmielowski poświęcił w roku 1888 dzieło obszerne, a i później, do ostatnich czasów, niejednokrotnie do niej powracał. Ta jednak zachodzi różnica, że twórca „Starej Baśni“ i autor „Polski w czasie trzech rozbiorów“ zmarł w późnym stosunkowo wieku, po sześćdziesięciu blizko latach niezmordowanej pracy, zdążywszy dać społeczeństwu swojemu — i to z nadmiarem ogromnym — wszystko, czego w zwykłej kolei życia najśmielsze marzenia spodziewać się od niego pozwalały. Chmielowski zgasł przedwcześnie, doszedłszy zaledwie do szczytu rozwoju swej wielostronnej działalności, a śmierć nietylko zabrała z nim razem do grobu wiedzę olbrzymią, pracowitość i sumienność niezrównaną, ale poprostu oderwała go przemocą od szeregu prac rozpoczętych i zamierzonych, w całej pełni sił umysłowych i badawczego zapału.

Bo rzecz dziwna. Na stronę duchową tego olbrzyma pracy cierpienia fizyczne i choroba, niszcząca od lat wielu jego organizm, nie zdawały się oddziaływać wcale; nie tamowały one jego działalności, pobudzały go raczej do coraz to nowych wysiłków. Dość przypomnieć, że, wyjechawszy przed kilku laty do Zakopanego dla podtrzymania i poratowania strawionego gruźlicą organizmu, na zasłużony, zdawałoby się, odpoczynek, Chmielowski rozpoczyna właśnie najpracowitszy i najbardziej ożywiony okres swej wytwórczości naukowej i literackiej, wydając jedno po drugiem takie dzieła, jak „Nasza literatura dramatyczna“ (2 tomy), „Metodyka historyi literatury polskiej,“ „Historya literatury polskiej“ (6 tomów), „Najnowsze prądy w poezyi,“ „Dramat polski doby najnowszej“ i wreszcie, nie licząc setek pomniejszych rozpraw, sprawozdań i notatek, dwie obszerne i cenne prace, wymienione w nagłówku. A przecież, wyjeżdżając do ustronia podtatrzańskiego miał on już w swym dorobku literackim nie jedną lub dwie książeczki, ale z piętnaście tomów prac poważnych, między któremi były takie dzieła epokowe, jak dwutomowe studyum o Adamie Mickiewiczu, „Autorki polskie wieku XIX,“ „Zarys najnowszej literatury polskiej“ i inne, z których bez przesady każde mogłoby zapewnić autorowi swemu wybitne miejsce w szeregu licznych dziś u nas i zasłużonych badaczów piśmiennictwa polskiego.

„Wierząc w postęp, do ostatniej chwili kształcił się i zapoznawał ze wszystkimi nowszymi kierunkami. A w krytykach swoich był wyrozumiałym, łagodnym, zawsze starającym się wykryć strony dodatnie w rozbieranych dziełach.“ Powyższe słowa, zastosowane przez autora w „Dziejach krytyki literackiej“ do Alek. Tyszyńskiego, w zupełności odnieść by można do samego Chmielowskiego, który niewątpliwie przejął się pod niejednym względem przykładem swego ulubionego mistrza i odziedziczył po nim zarówno niegasnący do ostatnich chwil zapał do pracy, jak i ogromne umiłowanie przedmiotu. Sama metoda krytyczna autora „Naszych powieściopisarzów“ zbliżona jest bardzo do tej, którą przypisuje on Tyszyńskiemu. Podobnie, jak autor „Rozbiorów i krytyk,“ w ocenie obszerniejszych utworów podawał on zawsze treść ich mniej lub więcej szczegółową, „ażeby okazać, jak ją zrozumiał“; do streszczeń wplatał znamienne wyjątki, „ażeby dać poznać czytelnikom, co go szczególnej uderzyło,“ a dopiero w końcu krótko, zwięźle sąd swój przedstawiał. Ta właśnie metoda przeważa zarówno w poprzednich pracach Chmielowskiego, jak i w wydanych niedawno staraniem jego przyjaciół i kolegów, „dla uczczenia 35-letniej działalności autora, jako pisarza i pedagoga,“ „Dziejach krytyki literackiej w Polsce.“ To też dla mistrza swojego na polu badań piśmienniczych zachował on wdzięczne wspomnienie, a zamieszczony w tej książce szkic jego o Tyszyńskim odznacza się pewną serdecznością i ciepłem, na jakie badacz nasz, dbający tak bardzo o możliwie największą przedmiotowość, dość rzadko sobie pozwalał. W całem dziele o krytyce uderza pod tym względem w podobny sposób jeden tylko ustęp jeszcze, gdy mianowicie autor spowiada się z wrażeń swoich, odebranych przy czytaniu znanej dziś powszechnie monografii Małeckiego o Juliuszu Słowackim. „Kiedy się ukazała po raz pierwszy (1866,7) była jakby objawieniem. Autor korzystał z nieznanych jeszcze wtedy przeeudnych listów Słowackiego, które przytaczał obficie, nadając swojemu opowiadaniu czar i wdzięk prawie poetycki. Czytało się jego książkę z tak gorączkowem zajęciem, jak najciekawszą, a przy-

tem prawdziwą powieść; poznawało się szczegółowo życie poety, o którem historye literatury ledwie skąpe podawały wiadomostki; zachwycało się jego sposobem myślenia, jego wrażeniami, tak uroczo w listach odtworzonemi; dumało się całemi godzinami nad tym smętnym twórcą, który jednak malowaniem swoich tęsknot i cierpień nie nudził, lecz przeciwnie zyskiwał sobie szczerą a rzewną sympatyę. Takiego życiorysu nie miała jeszcze literatura polska i nierychło zapewne mieć będzie, bo na to potrzebaby takiej postaci, jak Słowacki, i takich listów, jak jego, — ani Mickiewicz, ani Krasiński podobnych nie zostawił."

Przytoczyłem ten ustęp prawie w całości, gdyż stanowi on jeden z nielicznych dokumentów, pozwalających głębiej nieco zajrzeć do duszy znakomitego badacza literatury. Tłomaczy on nam zarazem źródło tego gorącego protestu, z jakim na krótko przed śmiercią wystąpił Chmielowski przeciw znanemu i czytelnikom *Prawdy* pamfletowi p. Tretiaka o Słowackim. I przedtem zresztą, właśnie w swem dziele o krytyce, oddawszy sprawiedliwość zupełną temu, co Tretiak pisał o Mickiewiczu, zaznacza on z naciskiem i udowadnia, że względem Słowackiego jest on „wprost niesprawiedliwym aż do zaciekłości," idąc w tej mierze znacznie dalej nawet, niż Tarnowski. „Tak to — konkluduje autor— uprzedzenie może zaciemnić wzrok krytyczny."

I hr. Tarnowski zresztą należy do niewielu pisarzów, którzy wystąpami pewnymi nawet Chmielowskiego umieli wyprowadzić niekiedy z równowagi zwykłej. Znamienny jest w tej książce szkic badacza naszego o głośnym profesorze krakowskim, gdzie autor starał się widocznie o przedmiotowość możliwą, nie szczędząc Tarnowskiemu pochwał i uznania za to, co tylko chwalić można było. A jednak on — uosobienie sprawiedliwości i bezstronności — nie może chwilami zapanować nad swem uczuciem, wobec stałego gwałcenia tych niezbędnych dla krytyka przymiotów w sądach literackich Tarnowskiego, tych zwłaszcza, które dotyczą dzieł i pisarzów, niesympatycznych dla wodza stańczyków krakowskich ze względu na swą głębszą ideę lub radykalną tendencyę, lub— z drugiej strony — tam, gdzie wódz ten mówi o swych osobistych lub politycznych przyjaciołach, jak Siemieński, Szujski lub Koźmian. Tę stronność Tarnowskiego, na którego zdanie o autorach wpływały i wpływają najczęściej ich przekonania religijne, a zwłaszcza polityczne, podkreśla Chmielowski z pewną ironią nietylko przy rozważaniu ocen, dotyczących wielu dzieł Słowackiego, a zwłaszcza znienawidzonego Goszczyńskiego, lecz nawet wykrywa ją w dziwnie jednostronnym sądzie o „mesyanicznych" utworach podnoszonego skądinąd Mickiewicza, zaznaczając z całą słusznością, że w wyjaśnieniu takich np. „Ksiąg Pielgrzymstwa" nie okazał się Tarnowski głębokim psychologiem, tylko żarliwym katechetą." „Tam, gdzie tylko dostrzegał ślad nienawistnej sobie „idei mesyanicznej" (z wyjątkiem Krasińskiego), popadał, podobnie, jak Spasowicz, tylko z innem zabarwieniem, w niepohamowany ferwor polemiczny, używając wszelkich możliwych argumentów, byleby ideę tę wyrwać do cna z umysłów spółczesnych," aż wreszcie, moderując coraz bardziej swe pierwotne zapatrywania młodzieńcze, doszedł wkrótce „do jednozgodności w poglądach z takim żarliwcem," jak znany Jezuita ks. Golian. Te i inne słuszne zupełnie spostrzeżenia kończy jednak Chmielowski z właściwą sobie bezstronnością pochlebnym naogół sądem o „Historyi literatury polskiej" Tarnowskiego, gdzie autor „nie przestał być wprawdzie rzecznikiem swego obozu, ale więcej, niż w którymkolwiek innem dziele, przemawiał przedewszystkiem, jako Polak, radośnie opowiadający o chwałach narodu i najgoręcej życzący mu pomyślnego rozwoju nadal." Pewną ironię na dalszych kartkach książki wywołuje już tylko p. Teodor Jeske-Choiński, który „sypał i sypie artykuły, jak z rogu obfitości, często niezbyt się mozoląc nad czytaniem dzieł, o których się rozwodzi na podstawie kilku przypadkowo pochwyconych zdań" — i dlatego zapewne nie wahał się Hajoty zaliczyć kiedyś do warszawskich — pozytywistek...

Rozwój dotychczasowy naszych pojęć literackich rozpatrzył autor w sześciu okresach, kiedy zostawały one kolejno pod wpływem: scholastyki, humanizmu, pseudoklasycyzmu, romantyzmu, realizmu i modernizmu, i doprowadził swój wykład aż do czasów najnowszych, uwzględniwszy dosyć szeroko zarówno manifesty p. Przesmyckiego w *Chimerze*, jak poglądy na twórczość i krytykę subjektywistów współczesnych, do których zalicza Matuszewskiego i Hirszbanda, oraz indywidualistów krańcowych, jak Przybyszewski, Żuławski i inni. Lwią część dzieła zajmuje naturalnie wiek XIX, nietylko dzięki temu, że autor był u nas jego znawcą najlepszym, lecz przedewszystkiem dlatego, że w tem stuleciu dopiero krytyka literacka rozwinęła się u nas naprawdę, pogłębiła i zróżnicowała wielostronnie.

Ciekawy jest niezmiernie ten stopniowy rozwój poglądów naszych na dzieła literackie, od pierwszych wzmianek krytycznych u biskupa Mateusza (wiek XII) i Wincentego Kadłubka aż do różnostronnych wymagań i sądów współczesnych, dla których — co prawda — niezawsze wystarczającym się okazuje zakreślony przez Chmielowskiego podział. W opracowaniu obfitego materyału starał się autor przedewszystkiem, jak sam w przedmowie zaznacza, nie naciągać faktów do jakichś formułek z góry upatrzonych, ale przedstawiać je jak można najwierniej. Dostrzegłszy w dziejach krytyki, tak samo, jak w innych objawach, prawo ewolucyjne różnicowania się pojęć, usiłował je uwydatnić, nie pomijając przytem ani prób syntezy, ani też przykładów uwstecznienia. Dbając, ile możności, o przedmiotowość wykładu, trzymając się zamieszczonej w nagłówku zasady mistrza Wincentego: *Qui parce laudat, parcius vituperet* („kto skąpo chwali, niech jeszcze skąpiej przygania"), pozostał jednak Chmielowski wszędzie wiernym samemu sobie. Szczególną miłością otacza on i najchętniej cytuje tych zwłaszcza krytyków, których zapatrywania na cele i zadania sztuki zbliżone są do jego własnych poglądów, odznaczających się, jak wiadomo, zawsze niezmierną wrażliwością na dobro i potrzeby społeczne. Dlatego zapewne Brodziński cieszy się u niego większą stosunkowo sympatyą, niż w pierwszych zwłaszcza wystąpieniach swoich Mochnacki; dlatego to w znakomicie nakreślonej sylwetce Klaczki nie waha się autor przytaczać stronic całych z rozpraw twórcy „Wieczorów florenckich," u którego znajduje niejednokrotnie zbliżone do swoich poglądy.

Nie wymieniając już pojedynczych sylwetek, z których wiele zasługiwałoby na wyróżnienie (o Kraszewskim np., o Spasowiczu, a z krótszych o Bogusławskim, Bemie, Krzemińskim i w. in.), zaznaczymy wogóle, że autorowie i dzieła, streszczeni w tej książce przez Chmielowskiego, mogliby wytworzyć bibliotekę sporą. Praca jego ułatwi ogromnie, zarówno badaczom, jak i szerokiemu ogółowi, oryentowanie się w złożonych zjawiskach ruchu umysłowego i głównych prądach, które na nas w różnych dobach oddziaływały, zwłaszcza, że nieodżałowany badacz, w miarę potrzeby, nie cofa się w swem dziele i przed streszczaniem lub przytaczaniem zapatrywań krytyków i myślicieli obcych, dając np. skończone niemal zarysy poglądów estetycznych Sainte-Beuve'a, Brandesa a zwłaszcza ulubionego Taine'a.

(D. n.)

Wł. Bukowiński.

SPRAWY EKONOMICZNE

Powrotna fala.

(Dokończenie).

Powrót do roli ludności, która już raz dla chleba wieś porzuciła, szukając w mieście zajęcia, nader małą stosunkowo w tych wędrówkach między wsią a miastem odgrywa rolę. Z początkiem lat dziewięćdziesiątych, gdy w Niemczech, Belgii itd. nagły rozkwit przemysłu wywołał zwiększony odpływ ludności wiejskiej do zajęć przemysłowych, do robót ziemnych, kolejowych, kopalnianych, gdy się zdawał czas pewien, że ożywiony rynek każdą ilość rąk żarłocznie pochłonie, wzrosło też ogromnie zapotrzebowanie na maszyny rolnicze, mające zastąpić braki spowodowane wędrówkami. Nie zmniejszyło się ono wszakże z końcem stulecia mimo kryzysu, który tylu robotników przemysłowych pozbawił pracy. Proces zastępowania siły robotniczej motoryczną, wywołany ucieczką pracowników z rolnictwa raz wszczęty postępuje dalej, gdyż właściciele ziemscy w wielu okolicach poznali już korzyści takiego uniezależnienia swych gospodarstw od robotników, a z drugiej strony ludzie przyzwyczajeni do pracy przemysłowej, do wyższych zarobków niechętnie powracają do dawnego trybu życia, do niższej stopy życiowej i o ile mogą przetrzymują czas ciężki na miejskim bruku.

Podobnie jak ludność wiejska, która dla zdobycia chleba wieś opuszcza, rozpada się na trzy kategorye — takich, którzy tylko przez dzień lub powszednie dni tygodnia w mieście żyjąc, powracają na noc lub na niedzielę do domu; takich, którzy na parę miesięcy, na „sezon" do miast przychodzą, lub wreszcie takich, którzy się na stały pobyt do miast przenoszą—i wędrówka z miasta na wieś ma charakter dzienny, czasowy lub stały.

Zarobkowe wędrówki na wieś ludności, mieszkającej stale w mieście, to zjawisko rzadkie i wyjątkowe. Spotykamy je najczęściej w krajach południowych, gdzie przechowały się jeszcze tradycye starożytnych miast i starożytne zamiłowanie do życia miejskiego. Nawet ludność właściwie wiejska żyje tu w miejskich gminach. W Montpellier dzielnice robotnicze zamieszkane są przeważnie przez ludność, pracującą w oddalonych od miasta winnicach, na Korsyce ludność z wysoko położonych miasteczek schodzi w dolinę na pracę rolną, w Sycylii, mimo słabego rozwoju przemysłu, ludność miejska stanowi wyższy procent ogółu ludności, niżli np. w Belgii oraz Saksonii i żyje właściwie też z uprawy roli. E. Reclus w swojej „Géographie universelle" zwraca uwagę na zadziwiający brak domów mieszkalnych śród pól sycylijskich. Wsi we właściwem tego słowa znaczeniu prawie całkiem tu niema, tylko miasta okolone uprawnymi zagonami. Gospodarze są mieszkańcami miast i dawnym zwyczajem klasycznych czasów wieczorem, po pracy powracają do miasta. Niektórzy nawet dwa razy dziennie odbywają długą wędrówkę do swego działu ziemi, by tylko właściwe życie pędzić w miejskiem domostwie. Nierzadko też brak

mieszkań robotniczych i brak odpowiednio wykształconych pracowników zmusza właścicieli wiejskiego przedsiebiorstwa do szukania rąk roboczych w najbliższem mieście. Czasem stosunki rodzinne, chęć kształcenia dzieci w szkołach miejskich, przeciwdziałają stałemu opuszczeniu miasta przez robotników, którzy przywykli do miejskiego trybu życia. Lecz takie wędrówki dzienne z miast ku wsiom ludności przemysłowej są zawsze tylko objawem przejściowym, towarzyszącym pierwszym latom istnienia fabryki na wsi. Przedsiebiorca stara się bowiem we własnym interesie robotników przyciągnąć na wieś, albo też miejscową ludność do pracy przemysłowej przyzwyczaić. Zapewnia mu to cel upragniony — możność zniżenia płacy.

Podniesienie kulturalnego poziomu wsi, oraz wciągnięcie jej w wir gospodarki zamiennej pociąga za sobą również napływ żywiołów miejskich. Ksiądz i jego pomocnik, a często organista i pisarz gminny, to zazwyczaj pierwsi wysłannicy miast. Potem nauczyciel, kramarz, rzemieślnik, którzy w miarę jak naturalna gospodarka na wsi ustępuje przed podziałem pracy i przed specyalizacyą, stają się i tutaj koniecznem dopełnieniem domowej wytwórczości. Tam, gdzie chłop żyje wyłącznie z uprawy warzywa, chowu bydła, lub gdzie jest wyłącznie pracującym na pańskiej roli najemnikiem, którego z ziemią łączy tylko pozostała po ojcach chałupa, tam musi towarami opędzać swe potrzeby zarówno, jak mieszkaniec miasta, i tak jak on traci z czasem zręczność do sporządzania rozmaitych potrzebnych mu na własnem gospodarstwie użytków. Już na wsi nietylko kowal, ale i stolarz, cieśla, murarz znajdują robotę i po nią tu z najbliższych miast przychodzą.

I lepiej płatni robotnicy, którym się udało odłożyć trochę grosza, chętnie, gdy z nadchodzącą starością praca ich zaczyna tracić na wartości, powracają do wioski, którą przed wielu laty opuścili krzepcy i zdrowi, kupują tutaj maluchny bodaj kawałek ziemi, ciesząc się po wielu latach zależności cieniem gospodarczej władzy i swobody. Na wieś też po długich latach miejskiego życia przenoszą się nieraz wysłużeni urzędnicy i wojskowi. Skromna emerytura szukać każe tańszego pobytu, a miasto, które widziało ich lepsze, świetniejsze czasy, staje się niemiłe, ciągłem wspomnieniem przeszłości. Wieś lub miasteczko otacza przybysza z miasta nowym nimbem, a ta sama stopa życiowa, która jest dla tego dostojnika zdetronizowaniem, zadziwia tu jeszcze naiwnych i schlebia tem zadziwieniem próżności. Obok urzędników, którym spokojne spełnianie wyznaczonych obowiązków zapewniło starość bez troski, wieś i prowincya jest też miejscem ucieczki dla rozbitków życiowych, którzy z burz i zawiei cudem ocalili możność skromnego życia na wygnaniu. Wyrzuca ich fala za brzeg wielkomiejski, ale nie gasi zazwyczaj żalu za miastem i gorących marzeń o powrocie. Ta kategorya — to niepoprawne dzieci miasta.

Wśród szybkiego wzrostu miast, który zdawał się już nie mieć granic, jedno zjawisko zaczęło zastanawiać: pustoszenie ich śródmieść. Coraz wspanialsze, wyższe powstawały tu gmachy, aż w końcu duszno ludziom wśród nich się stało i zaczęła się ucieczka ku obwodowi miasta. Tutaj, objęte ogrodami, stanęły wille bogaczy, a gdy miejsca zabrakło, przenosić się zaczęły po za mury miejskie. Tramwaj, kolej łączą okoliczną wieś z miastem, zamieniają ją powoli w przedmieście, ale nie wypędzają z niej już zieleni. Ludność stolic, która z bruku ucieka, nauczyła się ją cenić w tej długiej rozłące.

Przed wielu laty zdawało się, że rozwój ten charakterystycznym jest tylko dla Anglii, teraz nie ulega już wątpliwości, że jest on w ogólności typowym dla wielkich miast. Leroy-Beaulieu, omawiając nowy podatek gruntowy w Paryżu i znaczenie nowoczesnych, lokalnych środków komunikacyjnych, wykazał, że w Paryżu wszczął się już przed trzydziestu laty ruch odśrodkowy, który na korzyść położonych dalej dzielnic wyludnił centrum Paryża. Od lat dziesięciu za tą pierwszą falą wylały dalsze, które poniosły już ludność po za obręb miasta. Drobni rentyerzy i pensyoniści, rzemieślnicy, którzy pracując dla sklepów i magazynów, składają raz na tydzień ukończone wyroby, przenoszą się chętnie w okolice wioski, gdzie mieszkanie i środki żywności znacznie są tańsze. I tak, podczas gdy z uprawy roli żyjąca ludność stosunkowo ciągle się zmniejsza, coraz częściej obierają sobie ludzie, należący właściwie do warstw miejskich, wiejskie gminy za miejsce stałego pobytu.

Im więcej sposób życia i mieszkania w mieście różni się od wiejskiego, tem bardziej nerwy zużywa, tem większa tęsknota budzi się wśród mieszkańców miast za wsią, za zielenią, powietrzem i horyzontem wolnym od zygzaków wież i kominów. Choć więc wędrówki zarobkowe z miast do wsi małą z natury rzeczy odgrywać mogą rolę, ta fala, która rok rocznie miasto wylewa, wciąż potężnieje i coraz to dalsze warstwy ludności z sobą unosi. Coraz to liczniej mieszkańcy miasta przenoszą się na pewną część roku na wieś, a zwyczaj podróży letnich, któremu ongi hołdowali tylko szczęśliwi właściciele zimowych i letnich rezydencyj, ci, których byt był ściśle z dworem pańskim związany, rozpowszechnia się i staje potrzebą przez wszystkich odczuwaną. „Wyjazd letni,“ to już stała pozycya w budżecie rocznym nawet mniej zamożnych, urzędniczych i kupieckich rodzin. Stowarzyszenia o charakterze filantropijnym własnym kosztem wysyłają na wieś dzieci ubogich rodziców (kolonie wakacyjne), chorych i biednych rekonwalescentów, a lepiej płatni robotnicy coraz częściej z drobnych, tygodniowych składek zakładają kasy, które im mają umożliwić podróż lub pobyt letni na wsi.

Długo miasto czarem swym ludzi przyciągało, aż w końcu ogromem swoim ciążyć poczęło i chwilowa choćby ucieczka z niego stała się tęsknotą i pożądaniem. Nawet monopol sztuki i nauki wieś zaczyna zazdrośnie mu odbierać. W Austryi uniwersyteckie wykłady wakacyjne dla nauczycieli ludowych urządza się śród górskich wiosek, w Polsce, w Zakopanem, wśród tatrzańskich szczytów, otwiera się nowy przybytek nauki, w Niemczech kolonie malarskie śród zagonów itd. A miejscy przybysze, otrząsnąwszy się z wielu złych i niepotrzebnych nawyczek, przynoszą z sobą wiele nieznanych tu pierwej wymagań, wiele zewnętrznej i wewnętrznej kultury, która powoli wygląd wsi zmienia. Widać to najlepiej po tych rajkach, które są czystym wytworem miłosnego uścisku miast ze wsią, kultury i natury, po miejscowościach kąpielowych, a bodaj po wsiach, liczniej przez letników odwiedzanych.

W snach utopistów, którzy już sto lat temu w zupełnem zniesieniu różnicy między wsią a miastem, rozłamu między pracą rolną a przemysłową, widzieli zbawienie i cel, wioska z fabryką lub z wykładami uniwersyteckiemi byłaby zapowiedzią ziszczenia najśmielszych marzeń. Dla oka trzeźwiejszego jest ona w każdym razie wyrazem buntu przeciwko tyraństwu miejskiego życia. Bunt ten podnosi się w tak rozmaitych formach i z tak ważnych pobudek, że trwoga przed pochłonięciem wsi przez smoka-stolicę powinna wobec niego ustąpić.

R. O.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Prasa hebrajska ostrzega swoich czytelników z miasteczek prowincyonalnych, ażeby nie przyjeżdżali tak licznie do Warszawy w celu szukania zarobków, zwykle bowiem po Wielkiejnocy odbywa się wyjazd zbiorowy młodzieży z dalekich miasteczek. Są to przeważnie biedacy, zmuszeni w końcu brać wsparcie w Towarzystwie dobroczynnem na — powrotny wyjazd do domu. W biurach informacyjnych przeznaczonych dla tych sfer, widzi się nieraz straszne tragedye. młodzieńcy ci omdlewają z głodu, nie mają gdzie nocować, wreszcie zaczynają żebrać. Znaczną przeszkodą w wyszukaniu jakiejbądz pracy zarobkowej jest to, że owi biedacy przeważnie nie znają wcale języka miejscowego. (*Kur. War.*).

— Płacę robotników okrętowych w Odesie ustanowiono najmniej na 1 rb. 50 kop. dziennie.

— W Olsztynie zasądził sąd ławniczy księdza Weichsla, proboszcza z Ramzowa, na 40 m. kary lub 10 dni więzienia za obrazę redakcyi *Gazety Olsztyńskiej* Ks. W zarzucił *Gazecie* w artykule pomieszczonym w *Warmiaku*, że jest ona wydawana za pieniądze, płynące z obcego państwa w celu podszczuwania.

— We Lwowie powstało „Towarzystwo pomocy dla Żydów rosyjskich,“ mające udzielać zasiłków przejeżdżającym przez Galicyę emigrantom oraz pragnącym się w niej osiedlić.

— Wszyscy pracownicy kolei państwowych na Węgrzech, niezadowoleni z regulacyi płac, zawiesili czynności. Dnia 20 kwietnia ustał zupełnie ruch kolejowy: pociągi będące w biegu strajkujący zatrzymali, gromadząc się tłumnie na szynach kolejowych. Rząd przedsiewziął liczne aresztowania i powołał rezerwy wojskowe do obsługi pociągów. Dnia 24 b. m. pod osłoną wojska wyruszyły z Budapesztu zaledwie 2 pociągi na ogólną liczbę 85 zwykle będących w ruchu.

— Zecerzy w Lisbonie urządzili zmowę, żądając podwyższenia płacy.

— Niezadowoleni z przysłania księdza, który nie umie ani słowa po polsku, Polacy, zamieszkali w Eving pod Dortmundem, zwołali zebranie, na którem wyrażono życzenie, ażeby biskup z Paderbornu innego przysłał pasterza. Wobec takiego postanowienia oświadczył wikaryusz dotychczasowy, że w ciągu roku gotów jest nauczyć się języka polskiego. Zebrani zapewnienia tego nie przyjęli i wysyłają deputacyę do biskupa.

— Austryackie ministeryum spraw zagranicznych ostrzega, że w Rio Janeiro zawiązało się jakieś Towarzystwo, którego firmantami są niejacy Trawiński i Drabu, wzywający szczególnie słowiańskich mieszkańców Austro-Węgier do emigracyi, przyrzekając im darmo znaczne obszary w Brazylii, skoro zobowiążą się przez lat 20 wypłacać temu Towarzystwu połowę dochodów. Ministeryum stwierdziło, że ta spółka nie posiada żadnych gruntów, żadnych kapitałów i żadnego upoważnienia.

Szkoły i wychowanie. P. Roch Kowalski, przełożony prywatnej szkoły męzkiej, otrzymał pozwolenie na otworzenie kursów wieczornych dla młodzieży i dorosłych, których program odpowiadać będzie czterem klasom szkół realnych. Wykładane będą: religia, język rosyjski i polski, arytmetyka, geografia, historya, nauki przyrodnicze, rysunki i kaligrafia. Do klasy pierwszej przymowani będą kandydaci nieumiejący nawet czytać i pisać. Opłata 12 rb. rocznie.

— W Stowarzyszeniu handlowców w Warszawie zorganizowano dla członków 12 bezpłatnych pogadanek z dziedziny buchalteryi, ekonomii politycznej, prawa handlowego, rachunkowości i korespondencyi.

Wiadomości naukowe. Galicyjski Wydział krajowy ogłasza konkurs z terminem do d. 31 grudnia 1905 r. na dwa premia z fundacyi Franciszka Kochmana, jedno w kwocie dwóch tysięcy koron, drugie w kwocie tysiąca koron, dla dwóch dzieł w języku polskim, uznanych za najlepsze, i wzywa wszystkich literatów polskich, ażeby w powyższym terminie dzieła swoje, o ile je uważają za godne ubiegania się o premia, przesyłali do Lwowa pod adresem Wydziału krajowego. W myśl statutu fundacyi mogą być dopuszczone do konkursu dzieła autorów polskich, w języku polskim, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej i teologicznej, zaś wydawnictwa materyałów historycznych

lub innych, bibliograficzne itp. tylko wtedy, jeśli im towarzyszy samodzielne, oryginalne dzieło autora. Także utwory autorów już zmarłych mogą ubiegać się o premium konkursowe, jednakże z zastrzeżeniem, że jeżeli to są dzieła już drukowane za życia autora, to im tylko w ciągu trzech pierwszych lat od jego zgonu prawo do konkursu służy. Jeżeli zaś są to prace jeszcze nieogłoszone drukiem, to przyznana im nagroda przedewszystkiem na wydrukowanie dzieła użyta być powinna. Z prac autorów żyjących jedynie książki drukiem już ogłoszone mają prawo do konkursu. Dawniejsze jednak publikacye, niż z r. 1894, jako o dziesięć lat wyprzedzającego prekluzyę niniejszego konkursu, bez różnicy, czy ich autorowie żyją lub nie, nie mogą według postanowień statutu być dopuszczone do konkursu. Własność literacka dzieła nagrodzonego służy autorowi i nadal, nadesłane zaś egzemplarze będą na koszt wysyłającego zwrócone tylko na osobne, wyraźne żądanie. Nagroda, przyznana dziełu drukowanemu autora już zmarłego, przypada na rzecz jego spadkobierców, gdyby zaś takich nie było, orzecze komisya konkursowa, na jaki cel nagroda ta ma być użyta. Ocenieniem dzieł, do konkursu przedstawionych, i przyznawaniem nagród zajmuje się komisya konkursowa, przez Wydział krajowy powołana. Jakkolwiek komisyi konkursowej służy [illegible] wynagradzania i takich dzieł, które na konkurs nie były nadesłane, wzywa jednakże wszystkich autorów, którzy prawo do osiągnięcia nagrody mieć mogą, aby nie omieszkali wziąć udział w konkursie, komisya bowiem nie bierze na siebie odpowiedzialności za możliwe przeoczenie dzieła godnego nagrody, lecz nie nadesłanego do ocenienia.

— Wydział krzewienia wiadomości handlowych przy Stowarzyszeniu subjektów w Warszawie ogłosił konkurs na napisanie językiem wzorowym: 1) oferty pracownika poszukującego zajęcia; 2) okólnika zawiadamiającego o otworzeniu przedsiębiorstwa; 3) listu handlowego z zamiarem zawiązania stosunków. Termin do 1 czerwca; trzy nagrody z dzieł Brucknera, Chmielowskiego i Kraszewskiego.

Literatura i prasa. Prasa amerykańska obchodzi 200 rocznicę swego istnienia. W kwietniu 1704 r. wyszedł pierwszy numer pisma tygodniowego na ziemi amerykańskiej — *News letters*, w Bostonie.

Ze sztuki. Na konkursie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przyznano nagrody następującym artystom: w dziale malarstwa czystego nagrodę pierwszą (400 rb.) p. Teodorowi Ziomkowi za „Krajobraz zimowy" — nagrodę drugą, wobec równorzędnej wartości dwóch prac, komitet postanowił powiększyć i przyznać każdej po 200 rb., które otrzymali: p. Mieczysław Jakimowicz za „Ręce" i p. Stanisław Lenc za „Marynarzy"; nagrodę trzecią (100 rb.) przyznano p. Andrychiewiczowi za „Magdalenkę". Nadto odznaczono listami pochwalnymi „Pogrzeb" p. St. Koczuborskiego, „Kwiecień" p. M. Trzcińskiego, i „Stare Miasto" p. M. Trzebińskiego. W dziale ornamentyki nie było żadnej pracy zasługującej na nagrodę. W dziale reprodukcyj graficznych 100-rublową nagrodę dopełniono 75 rb. od Towarzystwa i 50 rb., ofiarowanymi bezimiennie, i podzielono na kilka nagród, które otrzymali: p. Franciszek Siedlecki za akwaforty (75 rb.), p. Wł. Klejn za drzeworyt (50 rb.), p. L. Gottlieb za autolitografię (50 rb.), p. Zofia Stankiewiczówna za akwaforty (50 rb.); prócz tego przyznano listy pochwalne p. J. Malinowskiej za akwafortę i p. Cylkowowi za litografię.

— Redakcya miesięcznika *Sztuka*, wychodzącego w Paryżu pod redakcyą Antoniego Potockiego, ogłosiła konkurs na kompozycyę rysunkową, z trzema nagrodami pieniężnemi: fr. 750, 500 i 250. Temat ma być zaczerpnięty z dzieł Fryderyka Chopina, przyczem pozostawiona jest zupełna swoboda w wyborze formatu i techniki rysunku (ołówek, kredka, pióro itd.), z zastrzeżeniem jednak, ażeby się nadawał do jednobarwnej reprodukcyi w druku. Prace, nadesłane na konkurs, będą reprodukowane w numerze *Sztuki*, poświęconym mistrzowi tonów. Projekty konkursowe winny być do dnia 15 maja nadesłane pod adresem: Mr. A. Potocki, 72 rue de Seine, Paris.

Z muzyki. Redakcya *Nowości Muzycznych* ogłosiła 3-ci konkurs im. K. ks. Lubomirskiego na utwory fortepianowe pod następującymi warunkami: a) utwory solowe, oparte na melodyach ludowych lub oryginalnych o swojskim charakterze, dowolnego stopnia trudności; pożądane są także i łatwe, niezbyt długie, od 2 do 5 stronic. Do kategoryi tej należą: Legenda, Ballada, Dumka, Kołysanka, Serenada, Nokturn, Pieśń bez słów, Preludya itp. Jako wzory do tworzywa mogą służyć odpowiednie dzieła Chopina, Moniuszki, Noskowskiego, Paderewskiego, Stojowskiego, Żeleńskiego i innych. (Źródła: Kolberg i Gloger-Noskowski), b) Utwory o rytmach tanecznych, swojskich, jak: Polonez, Mazur, Krakowiak, Kujawiak Oberek, Mazurek itd., lecz nie do tańca. Nagroda jedna 120 rb., trzy po 60 rb. i 8 pod 25 rb.; termin do 15 października r. b.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa zważywszy, że wyznaczane z gruntów skarbowych przestrzenie dzierżawne są dostępne tylko dla włościan zamożnych, podczas, gdy ubożsi nie posiadają środków na ich zagospodarowanie, poleciło zarządom miejscowym, aby na przyszłość wydzierżawiano grunta wyłącznie włościanom bezrolnym w małych parcelach, obszary zaś, będące w posiadaniu zamożnych, po upływie terminu dzierżawnego mają być również dzielone na mniejsze działki i oddawane dzierżawcom niezamożnym.

— Od 14 lipca r. b. w miastach, nieposiadających oddziałów Banku państwa, Izby skarbowe i kasy miejskie przyjmować będą papiery procentowe do prze[illegible].

— *Gaz. Pols.* donosi, że właściciele fabryk konserw wraz z kilku rzeźnikami tutejszymi zwrócili się do ministeryum wojny z prośbą o wydawanie obstalunków na dostawę przetworów mięsnych dla armii. Ministeryum odpowiedziało za pośrednictwem intendentury okręgu warszawskiego, że chętnie zamówi około miliona puszek konserw, postawiło jednak tak uciążliwe warunki, że przedsiębiorcy zrzekli się dostawy.

— Z powodu nadzwyczajnych wydarzeń na Dalekim Wschodzie, w ministeryum komunikacyj cofnięto asygnowane na r. b. kredyty w sumie 11,000,000 rb. na budowę linii kolejowej Siedlce-Bołogoje i 2,800,000 rb. na budowę linii kolejowej Nowokamienna-Łomża.

Katastrofy. Skutkiem trzęsienia ziemi, jakie nawiedziło półwysep Bałkański na początku bież. mies., w wilajecie kossowskim zburzone zostały wszystkie domy w 30 wsiach, przyczem kilkudziesięciu ludzi stra[illegible].

— W Pragelotto, około Turynu, lawina zasypała kilkanaście chat górniczych. Ocalono zaledwie dwadzieścia kilka osób.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Al. Piotr. w Warszawie. Zamieszczamy polemiki *tylko* z artykułami drukowanymi w *Prawdzie*.

*

OFIARY.

Na powodzian. 1 rb. Gneriech z Soczi.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 16 Апрѣля 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8